PISMO INFORMACYJNO-KULTURALNE WSCHODNIEJ BIAŁOSTOCCZYZNY

Czasopis

Nr 10 (81) PAŹDZIERNIK 1997 CENA 1,50 zł

W NUMERZE:

Kampania wyborcza każdego z trzech ugrupowań nie była wolna od elementów negatywnych wobec pozostałych. Chociaż w wystąpieniach publicznych wzajemnych antypatii starano się unikać, to w bezpośrednich rozmowach z wyborcami „wrogą propagandę" siano bez zahamowań.

Krajobraz po wyborach

str. 4

We wsi najczęściej była jedna albo dwie studnie publiczne. Później na granicy sąsiadujących posesji kopano wspólną. W czasie wojny wiele z nich uległo zniszczeniu i dostęp do wody na powrót stał się dużym problemem. Do tego stopnia, że nieżyczliwi gospodarze w obawie przed wyczerpaniem źródła (ale najczęściej z powodu zwykłego skąpstwa) uwiązywali nawet psa, aby ten pilnował studni przed obcymi.

Kopacze studni

str.22

Mały grzybiarz musiał porzucić wreszcie zapieckowy świat bajek. Nie mógł wierzyć w leśne duchy i strachy, którymi lękano dzieci.

Czas grzybobrania

str. 25

W ZGODZIE Z ŻYWIOŁAMI



str. 19

Czasopis
Pisma Informacyjno-Kulturalne Wschodniej Białostocczyzny
Ukazuje się co miesiąc

Wydawca
Stowarzyszenie Dziennikarzy Białoruskich

Adres redakcji
15-001 Białystok, ul. Suraska 1, skr. poczt. 262
tel. 42-11-05

Redaktor naczelny
Jerzy Chmielewski

Zespół redakcyjny
Wiesław Choruży, Sławomir Iwaniuk, Jerzy Kalina (sekretarz redakcji), Dorota Sulżyk, Jerzy Sulżyk

Stali współpracownicy
Piotr Bajko, Doroteusz Fionik, Helena Głogowska, Mikołaj Hajduk, Sokrat Janowicz, Michał Kondratiuk, Mirosława Łuksza, Irena Matus, Michał Mincewicz, Sławomir Nazaruk, Jerzy Osiennik, Aleksander Sołowianowicz, Dorota Wysocka

Kompozycja typograficzna i skład
Jerzy Chmielewski

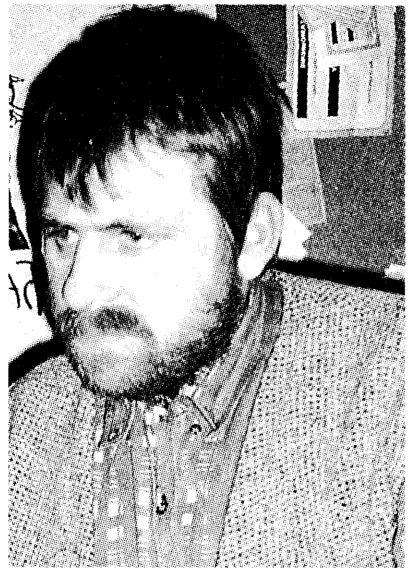
Druk
Orthdruk, 15-399 Białystok, ul. Składowa 9, tel. 42-25-17

Prenumerata
Odpowiednio do liczby jednorazowo zamawianych egzemplarzy i okresu prenumeraty należy wpłacić wielokrotność 2,50 zł na rachunek: Stowarzyszenie Dziennikarzy Białoruskich PBK I/O Białystok 370406-6262-2700-1-74.
Nr indeksu 355035
ISSN 1230-1876

Pismo dofinansowane przez Ministerstwo Kultury i Sztuki Rzeczypospolitej Polskiej.

Numer zamknięto 30 września 1997 r.

Чаму мы прайгралі?



Сёлетнія парламенцкія выбары адназначна даказалі, што свайго пасла можам мець толькі пры падтрымцы моцнай польскай партыі. Пра гэта рашае сённяшні грамадска-палітычны вобраз краіны з выразным ужо падзелам паасобных сіл і надалей слабая нацыянальная сведамасць беларусаў Беласточчыны. Таму бязлітасна і страшэнна прайграла Асацыяцыя славянскай меншасці Рэчыпаспалітай — Праваслаўныя, якая прабавала дабіцца пасла самастойна. Аказваецца, што цяпер 13 тысяч галасоў — гэта ледзь палова таго, каб „залапацца" ў парламент. А 200 тысяч „своїх людэй у Белостоцькому воеводстві", паводле слоў лідэра Асацыяцыі, Яўгена Чыквіна, гэта проста фікцыя. Паўтараю: рашае свядомасць нацыі. Амаль у паловы насельніцтва Беласточчыны фактычна ёсць праваслаўныя і беларускія карані, але пра вялікі „свой народ" няма што думаць. Яго нізкая нацыянальная свядомасць накіроўвае выбарчыя сімпатыі ў бок Цімашэвіча і Саюза левых дэмакратаў. „Нашы людзі" не галасуюць аднак на гэту партыю, але проціў каталікаў. Не падтрымоўваюць праваслаўнага камітэта і таму, што не вераць, каб мог ён штоколечы ім дапамагчы у Сойме. Толькі СЛД у змозе супрацьставіцца правым, „Салідарнасці" і ўсім „касцельным слугам" — так думаюць не толькі жыхары усходняй Беласточчыны.

Таму прайграла таксама Унія працы, а з ёю наш кандыдат, Яўген Вапа. Цяпер відаць, што стаўка Беларускага саюза якраз на гэту партыю была памылкай. Тады аднак, калі пра гэта рашалася, пазіцыя Уніі працы не была безнадзейная. Аказваецца аднак, што трэба было нам ставіць на іншых. На гэта магло сабе пазволіць Беларускае грамадска-культурнае таварыства, амаль арганічна павязанае з СЛД і ўмела выкарыстоўванае Цімашэвічам. Аднак у выпадку малодшага беларускага асяроддзя, якое паявілася ў выніку дэмакратычных перамен 90-х гадоў, ідэалагічныя розніцы надалей настолькі істотныя, што перакрэсліваюць палітычнае супрацоўніцтва з гэтай партыяй. Застаецца яшчэ, як магчымы кааліцыянт, Унія вольнасці. На жаль, тут у Беластоку няма з кім ад іх гаварыць. Размовы з мясцовымі лідэрамі партыі Бальцаровіча абазначалі б згоду на аблесенне сваёй зямлі і ператварэнне яе ў нейкія „зялёныя лёгкія Польшчы". Для нас гэта ж абсурд.

Ці для Беларускага саюза няма тады ўжо ніякіх шанцаў, каб у будучыні мець прадстаўніка ў парламенце? Я думаю, што цяпер так сказаць яшчэ рана. Усё ж такі нашы галасы будуць патрэбныя іншым. У бліжэйшым часе трэба спадзявацца спробаў так Уніі вольнасці, як і СЛД, каб прыцягнуць да сябе як найбольш беларусаў, а затым і круг Беларускага саюза.

Беларускае дэмакратычнае аб'яднанне, якое выставіла сваіх кандыдатаў у Сенат, выбары таксама прайграла, але выйграла прынамсі маральна. Доказам гэтага — амаль 30 тысяч галасоў.

Усе прайграныя беларускія кандыдаты ўпэўнены, што іхнія арганізацыі выйграюць — прынамсі ў некаторых гмінах — у самаўрадавых выбарах вясной будучага года. Такі падыход лічу памылкай. Нельга гаварыць пра агульнабеларускае супрацоўніцтва ў час гмінных выбараў, калі няма яго пасля іх. Ведаю толькі адну гміну, якая афіцыйна прызнаецца да беларускай улады ў ёй. Гэта гміна Гарадок. Бываючы на паседжаннях Рады гміны як рэдактар „Wiadomości Gródeckich — Гарадоцкіх навін", а таксама ў размовах з раднымі, я аднак не заўважыў большых сувязей і пачуцця супольнасці з беларускім асяроддзем Беластока. У іншых гэтак званых беларускіх гмінах нацыянальныя вартасці маюць маргінальнае значэнне. Прычына тут толькі адна — там няма свядомай беларускай інтэлігенцыі. І ў Гарадку яе не было б, каб не Лёнік Тарасэвіч, Алік Карпюк, Дарота і Юрка Сульжыкі ды яшчэ пару настаўнікаў і ураднікаў, якія не выехалі ў горад — як многія іхнія сябры — а ўключыліся ў жыццё сваёй сапраўднай малой беларускай айчыны. Хацелася б, каб і ў іншых гмінах знайшліся такія. І хто ведае, ці на сёння гэта не ёсць адзіны магчымы спосаб на ператрыванне жывой беларускасці ў нас? У вялікіх гарадах

працяг на стар. 4

OPINIE

■ *Wśród mniejszości białoruskiej nadal powszechna jest idea ukrywania swych korzeni. Teraz przybrało to formę trochę łagodniejszą — deklarowania się jako prawosławny Polak. Wcześniej nawet taka postawa była nie do przyjęcia. Należało tak zakonspirować się wśród Polaków, aby oni broń boże nie pomyśleli, żeś ty Białorusin. To zjawisko charakteryzowało się przede wszystkim ucieczką od jednoznacznych imion — Bazyli stawał się Wacławem, a Nadzieja Jadwigą. Do dziś takie postawy, związane z kompleksami, niedowartościowaniem i brakiem świadomości narodowej, uchodzą u nas za normalne („tak trzeba"). Jest to oczywiście złudzenie, ale kto wie, czy nie ono decyduje właśnie o sukcesie Włodzimierza Cimoszewicza. Jego przypadek jest ukrytym dążeniem starszego pokolenia Białorusinów, którzy starali się, aby ich dzieci „zaszły daleko", jednocześnie nie wyróżniając się wśród Polaków niepolskimi elementami rodzinnymi.*

Włodzimierz Łukoszyk, przewodniczący Rady Gminy w Gródku, „Wiadomości Gródeckie – Haradockija Nawiny", 20 sierpnia - 19 października 1997 r.

■ *W tej gminie* (Czyże — **red.**) *poparcie, jakie uzyskałem w wyborach prezydenckich, było największe w całej Polsce (98,7 proc.). Tutaj jestem cały wasz. Nie miałbym nic przeciwko temu, żebyście to poparcie przekazali panu Włodzimierzowi Cimoszewiczowi.*

Prezydent **Aleksander Kwaśniewski** do mieszkańców Czyż, „Gazeta w Białymstoku", 1 września 1997 r.

■ *Mamy świadomość, że znajdujemy się na wschodnich krańcach Unii Europejskiej i Paktu Północnoatlantyckiego. Chcemy, by nasza wschodnia granica nie dzieliła ludzi i nie odgradzała od drogich naszemu sercu dawnych kresów Rzeczpospolitej i żyjących tam naszych rodaków. Chcemy, by była granicą otwartą na różnoraką współpracę. Rozwijając wartości narodowe i kontynuując katolicką tradycję, będziemy czerpać z tego, co wartościowe w wielokulturowym dorobku naszego regionu. Mniejszości etniczne i religijne dzięki „Solidarności" zyskały pełnię praw, jaką cieszą się mniejszości w państwach demokratycznych. Będziemy wierni tej tradycji.*

Z Programu Akcji Wyborczej Solidarność Region Białystok, „Biuletyn Informacyjny NSZZ „Solidarność" Region Białystok", 1 września 1997 r.

■ *W budynku przy ul. Suraskiej mieści się np. redakcja gazety białoruskiej. Czy ja ich wykańczam? Myślę, że mają jeszcze niższe czynsze niż inni.*

Józef Mozolewski, przewodniczący Zarządu Regionu NSZZ „S", „Gazeta w Białymstoku", 3 września 1997 r.

■ *Od dłuższego czasu prowadzisz moralnie niegodziwą grę dzielenia Białorusinów na „prawdziwych, dobrych", tzn. podzielających Twoje i Twoich przyjaciół poglądy i na „feudalne społeczeństwo" — to tylko najdelikatniejsze określenie z tych, jakich używasz wobec większości swego narodu. Doszło to tego, że „Niwa" i „Czasopis" przekonują, że w Polsce Białorusinów jest 4-5 tysięcy, a w Republice Białorusi niecałe 2 miliony. Reszta to homo sovieticus!*

Eugeniusz Czykwin, redaktor naczelny „Przeglądu Prawosławnego", w liście do Eugeniusza Mironowicza, red. nacz. „Niwy", 21 września 1997 r.

■ *Stowarzyszeniu nie powiodła się tym razem próba stworzenia samodzielnej reprezentacji prawosławnych, ale i ten wynik, który osiągnęlismy, choć nie daje nam mandatu, jest optymistyczny. Kampanię wyborczą prowadziliśmy bez odpowiedniego wsparcia finansowego. Nie mieliśmy dostępu do centralnej telewizji i centralnego radia, dlatego nie mogliśmy z naszą ideą dotrzeć do wszystkich. Ponadto, polaryzacja w naszym regionie jest znacznie silniejsza niż w kraju. Sukces AWS można więc wytłumaczyć tym, że tu funkcjonują silniejsze stereotypy, na przykład mniejszości białoruskiej.*

Eugeniusz Czykwin, „Kurier Poranny", 24 września 1997 r.

■ *Przez trzy lata rządów Łukaszenki przemysł został całkowicie zdezorganizowany. Nowy rodzaj biznesu nie powstał. Został zniszczony przez podatki, albo przez represje. Wszystko to sprawiło, że inwestycje przeniosły się do krajów ościennych. Mamy w tej chwili bodaj najniższy wskaźnik realnych dochodów przypadających na mieszkańca.*

Wincuk Wiaczorka, w rozmowie na łamach „Polityki", 27 września 1997 r.

■ *Im więcej będzie w Polsce odrębności etniczno-regionalnych, eksponujących swą kulturę i historię, im większa będzie samorządność regionów — tym atrakcyjniejsze będzie wiano polskie w jednoczącej się Europie.*

Dorota Simonides, senator Unii Wolności z Opola, „Polityka", 4 października 1997 r.

Wybory '97

Jerzy Chmielewski
Krajobraz po wyborach ... 4
Ян Сычэўскі:
Не збіраюся прадаць душы ... 7
Яўген Чыквін:
Я наогул аптыміст ... 8
Пятро Юшчук:
Gloria Victis! ... 8
Мікола Гайдук:
Патрэбны Беларускі выбарны камітэт! ... 9
Сакрат Яновіч:
Do trzech razy sztuka! ... 10

Felieton

Bycie sobą ... 11

Календарыюм

...гадоў таму ... 12
Калісь пісалі ... 13

Minął miesiąc

Region ... 14
Kraj ... 15
Republika Białoruś ... 15
Świat ... 16

Śladami przeszłości

Helena Głogowska
Białoruska Praga ... 17

Reportaż

Dorota Sulżyk
W zgodzie z żywiołami ... 19

Ginące zawody

Michał Mincewicz
Kopacze studni ... 22

Lud nadnarwiański

Irena Matus
Czas grzybobrania ... 25

Wyszperane w archiwum

70. urodziny Józefa Stalina ... 28

Analizy

Aleś Czobat
Na końcu jednego i drugiego świata (cz. II) ... 30

Refleksje

Jerzy Sulżyk
Gdzie jest życie? ... 32

O poezji

Teresa Zaniewska
Droga i wędrowiec ... 33

Sylwetki świętych

Święty Marcin Turowski ... 35

Хроніка мясцовасці

Крывятычы ... 36

Fot. na okładce J. Sulżyk

Jerzy Chmielewski

Krajobraz po wyborach



21 września wybory parlamentarne w Polsce wygrała prawicowa Akcja Wyborcza Solidarność. U nas, na wschodniej Białostocczyźnie, trzeba powiedzieć wprost — zwyciężyli katolicy. Prawosławni, tradycyjnie już, swe głosy oddali na Sojusz Lewicy Demokratycznej, prawie wszystkie z nich na Włodzimierza Cimoszewicza. W województwie białostockim SLD w wyborach do Sejmu poparło 64985 osób, co dało mu dwa mandaty. Pięć pozostałych przypadło AWS, na którą oddano 115634 głosy.

Z listy SLD posłem został powtórnie Siergiej Plewa (2135 głosów). Mandat zdobył też przewodniczący Zarządu Głównego Białoruskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego, Jan Syczewski. Poparło go jedynie 1688 osób, ale trzydziesta dziewiąta pozycja, którą zajmował na liście krajowej SLD, okazała się „biorąca".

Przewodniczący Związku Białoruskiego w RP, Eugeniusz Wappa (2023 głosy), kandydował z listy Unii Pracy, która nie przekroczyła progu 5 proc. i nie weszła do Sejmu. Klęskę poniosło też, zwolnione z tego progu, Stowarzyszenie Słowiańskiej Mniejszości Narodowej — Prawosławni. Czołowy kandydat tej listy, redaktor naczelny „Przeglądu Prawosławnego", Eugeniusz Czykwin, uzyskał 7574 głosy, a cała lista 13632. Do mandatu zabrakło około dziesięciu tysięcy głosów.

Kampania negatywna

Zmagania wyborcze wszystkich trzech kręgów — cerkiewnego, BTSK i ZBwRP — koncentrowały się na obszarach wiejskich i małomiasteczkowych. Sensownego klucza do Białegostoku, Bielska, Hajnówki, Sokółki i Siemiatycz, gdzie mieszka blisko 70 proc. naszego elektoratu, i tym razem nie wymyślił żaden ze sztabów. Filarem kampanii były gminne festyny i wiejskie odpusty w czasie świąt parafialnych. To wtedy zebrano najwięcej podpisów i rozdano najwięcej ulotek.

Kampanią Eugeniusza Wappy dowodził kilkunastoosobowy sztab złożony z działaczy i studentów białoruskich, wśród których najbardziej aktywny był Jerzy Szulski. Narady odbywały się albo w siedzibie białostockiej Unii Pracy, albo w prywatnym mieszkaniu Olega Łatyszonka, dziennikarza „Niwy".

Pozostałe ugrupowania kampanię opierały na siedzibach i działalności statutowej swych organizacji. Spotkania komitetu cerkiewnego odbywały się przeważnie w redakcji „Przeglądu Prawosławnego", który już od wiosny stał się tubą wyborczą Eugeniusza Czykwina. Taką tubą, a właściwie areną, Jana Syczewskiego i kandydatów SLD były gminne festyny organizowane przez BTSK.

Kampania wyborcza każdego z trzech ugrupowań nie była wolna od elementów negatywnych wobec pozostałych. Chociaż w wystąpieniach publicznych wzajemnych antypatii starano się unikać, to w bezpośrednich rozmowach z wyborcami „wrogą propagandę" siano bez zahamowań. Szczególnie upodobali to sobie ludzie z otoczenia niektórych kandydatów, ich krewni i znajomi. Najbardziej atakowany był Eugeniusz Wappa. Zarówno otoczenie Eugeniusza Czykwina, jak i Jana Syczewskiego nie kryło wrogości wobec konkurencyjnego kandydata. Szef Związku Białoruskiego w czasie objazdu po gminach wielokrotnie spotykał się z pomówieniami o współpracę z polskimi służbami specjalnymi, Watykanem i przynależność do unitów. Wypowiadający takie absurdalne opinie, pytani skąd im są one wiadome, odpowiadali: — *A bo tak mówili ci, którzy przyjeżdżali przed wami.*

Eugeniuszowi Wappie oberwało się też w czasie festynów. Rozdający ulotki Jana Syczewskiego przestrzegali wyborców, aby nie głosowali na Wappę, bo ten, gdy zostanie posłem, rozwiąże BTSK.

W Bielsku Podlaskim w ostatnim tygodniu przed wyborami miał miejsce szczególnie kuriozalny incydent. Osoby pracujące dla Eugeniusza Wappy roznosiły wtedy po blokach listy z apelem do

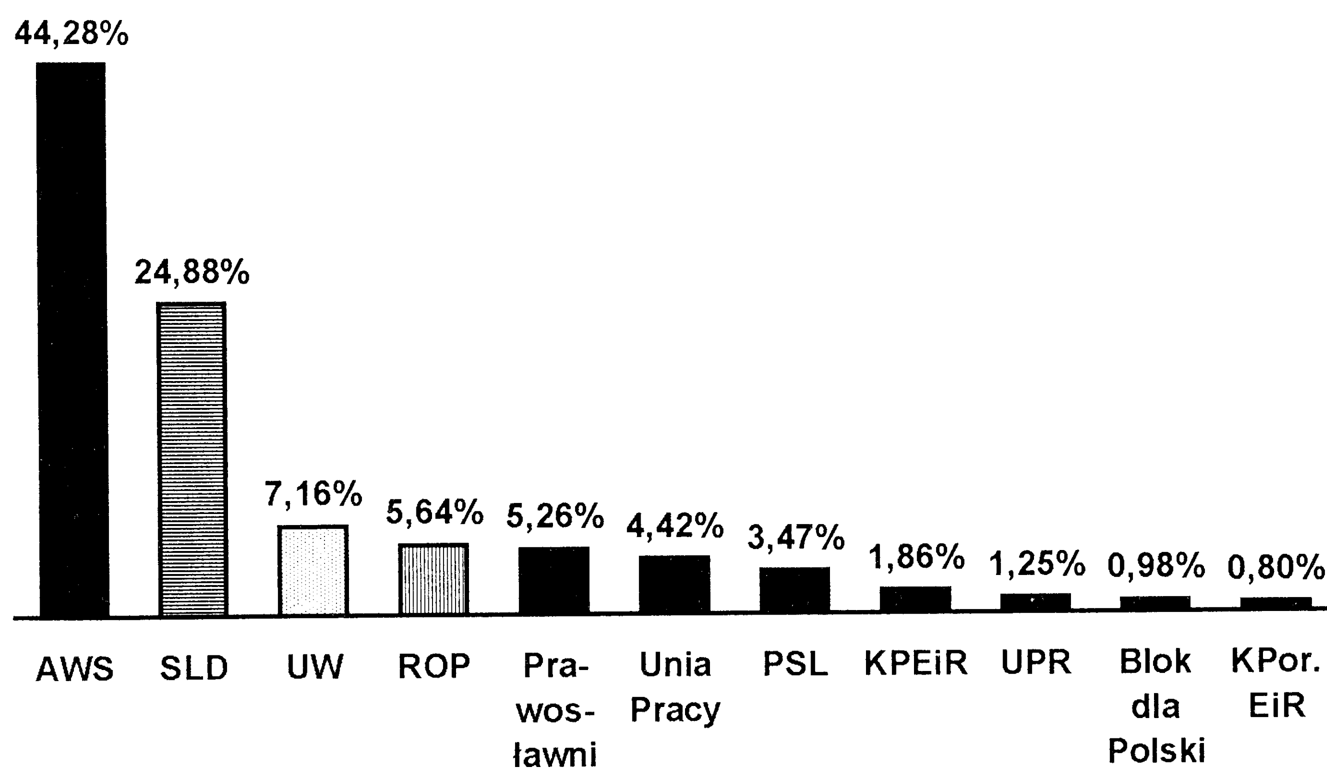
---

Чаму мы прайгралі?

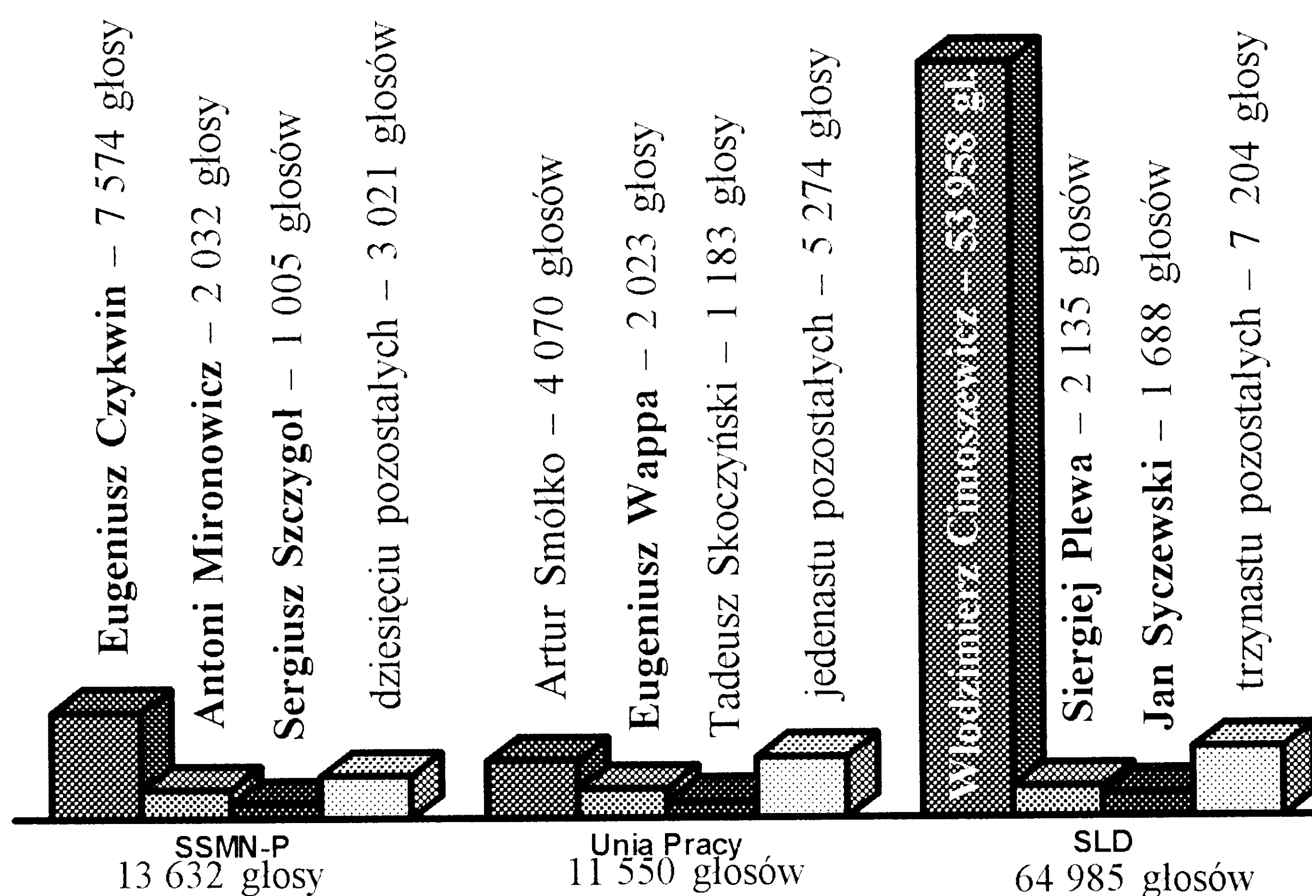
працяг са стар. 2

— Беластоку, Бельску, Гайнаўцы — мы разгублены і без шанцаў на супрацьстаянне дабіваючай нас паланізацыі. Кожны, каму залежыць на беларускай справе, не павінен парываць сувязей з роднымі мясцовасцямі, а наадварот — падтрымаць іх беларускі характар, а калі будзе трэба — звязацца з імі працай. Інакш беларускасць на Беласточчыне астанецца мёртвай, няздольнай дайсці да людзей праз старонкі „Часопіса", „Нівы" (але не „Гарадоцкіх навін"), паэтычных зборнікаў і гістарычных кніжак, з эстраднай сцэны, а нават праз радыё і тэлевізар. Усяго гэтага будзе мала, каб беларускасць перастала быць толькі нейкім дадаткам да жыцця — для адных патрэбным, для іншых вымушаным, а для большасці чымсьці зусім абыякавым.

Юрка Хмялеўскі



Procentowe ilości głosów uzyskanych przez poszczególne komitety wyborcze w wyborach do Sejmu w województwie białostockim



Głosy uzyskane przez komitety, w których startowali kandydaci białoruscy

mieszkańców, aby głosowali na Unię Pracy. W ślad za nimi szła pewna, związana z białoruską oświatą i BTSK, pani z rodziną i opróżniała skrzynki pocztowe z wystających przesyłek.

Finanse

Chociaż żaden z naszych komitetów dotąd publicznie nie przyznał się, ile kosztowały go wybory, to powszechnie wiadomo, że musiał wydać nie mniej jak sto milionów starych złotych. Nie znaczy to, że taką kwotę musiał wyłożyć każdy z najbardziej liczących się kandydatów.

Eugeniusza Wappę najwięcej kosztowały kolorowe plakaty, ulotki, przejazdy i listy wysłane do kilku tysięcy wyborców. Ogromnego zaangażowania jego przyjaciół, krewnych i znajomych oczywiście na pieniądze przeliczać nie można — wszyscy pracowali społecznie. Konieczne wydatki finansował ze środków sponsorów (firm i osób prywatnych).

Duże pieniądze wydał także Eugeniusz Czykwin. Najpoważniejsze koszty pochłonął druk plakatów, ulotek, wyborczej książki „Byłem prawosławnym posłem" oraz przejazdy. Głównym źródłem finansowania jego komitetu była drukarnia „Orthdruku", której jest współwłaścicielem. W tych wyborach, jak w żadnych dotąd, olbrzymiego poparcia udzieliły mu parafie prawosławne. Podczas nabożeństw i na lekcjach religii rozdawano ulotki, a proboszczowie w kazaniach wskazywali, na kogo wierni mają głosować. Nie dało to jednak spodziewanego rezultatu. W wielu przypadkach skutek był odwrotny od zamierzonego. — My, prawosławni, zawsze krytykowaliśmy katolików za mieszanie się do polityki, a teraz robimy to sami — słyszało się po wyjściu z cerkwi.

Dość niskie koszty w kampanii poniósł Jan Syczewski. Nie licząc wkładu, który musiał wnieść — z tytułu kandydowania — dla SLD (nieoficjalnie mówi się o 60 milionach starych złotych) resztę finansowały gminy i BTSK, jako organizatorzy letnich festynów białoruskich, podczas których prezentowano kandydatów na posłów.

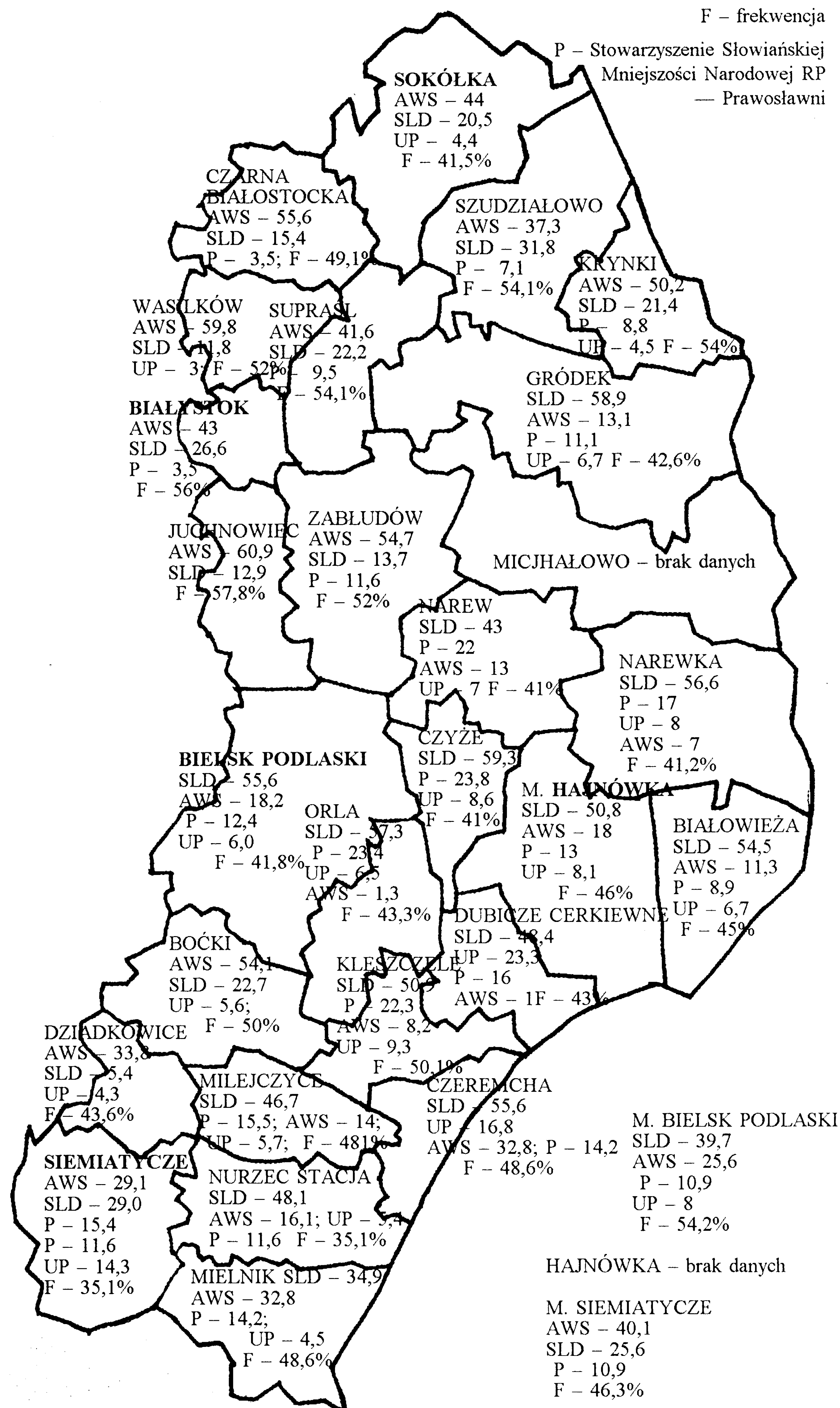
Najmniej kosztowną kampanię prowadziło Białoruskie Zjednoczenie Demokratyczne. Odbijane na ksero ulotki, plakaty i odezwy sfinasowali sami białoruscy kandydaci do Senatu oraz osoby je popierające, z mec. Piotrem Juszczukiem na czele. W kampanię zaangażowało się od kilkunastu do kilkudziesięciu osób, które poświęciły swój czas i samochody na spotkania z wyborcami w gminach.

Refleksje

Tegoroczne wybory parlamentarne na Białostocczyźnie dowiodły, że Białorusini nadal są tu liczącą się siłą — trzecią, a może nawet drugą. Wyniki głosowania tego nie odzwierciedlają tylko dlatego, że nasza mniejszość wciąż ma zbyt niską świadomość narodową i tkwi w kompleksach. Ale powoli to się zmienia.





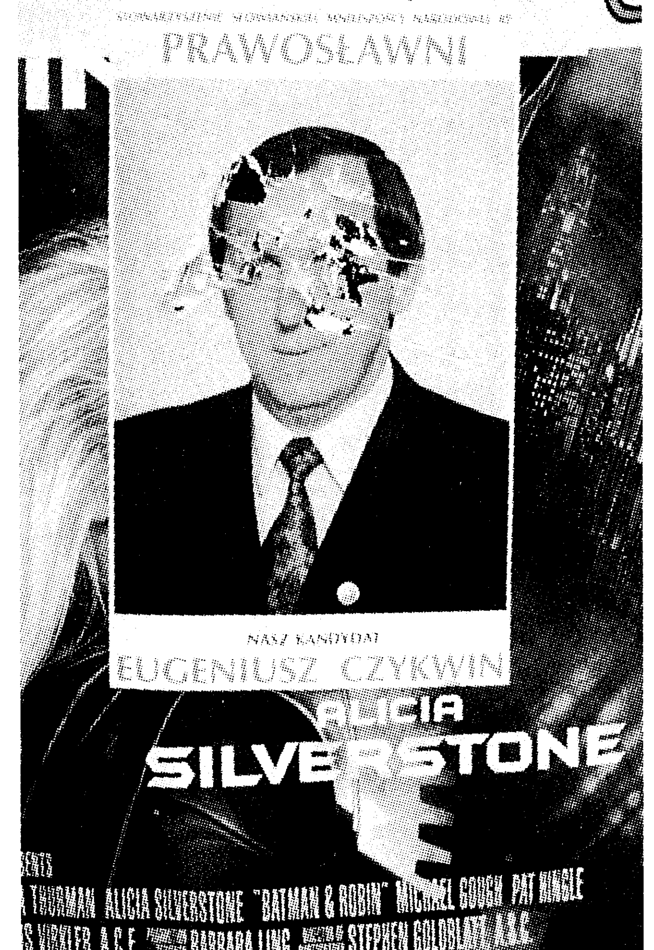


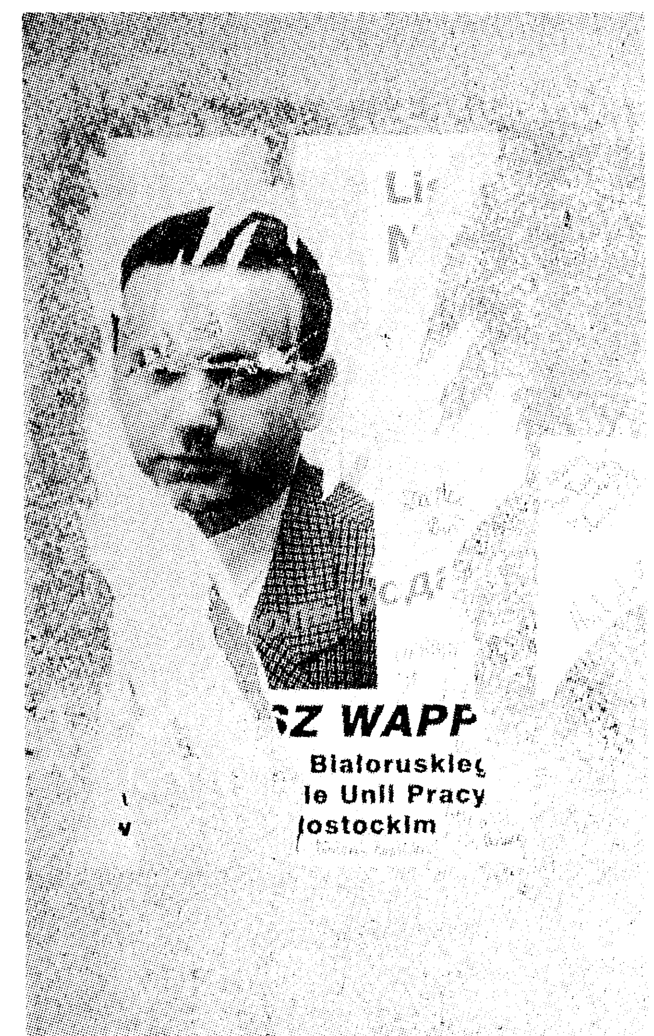
Tak głosowały gminy. Na zachodzie frekwencja była wyższa

Nasi ludzie, chociaż z oporami, to jednak przekonują się, że są Białorusinami. — No, bo skoro tak o nas mówią władze, to tak być musi — tłumaczą. W czasie ostatniej kampanii w mediach zarówno politycy (z premierem i prezydentem na czele), jak i dziennikarze jednogłośnie określali elektorat wschodniej Białostocczyzny jako białoruski. Nikt nie wspominał o podlaskich Ukraińcach. Dość dziwną postawę przyjął przeto Eugeniusz Czykwin, powołując organizację „słowiańską" w celu reprezentowania Białorusinów. Stawiał jednak głównie na przynależność religijną swego elektoratu. Zbyt wiele, w porównaniu z Eugeniuszem Wappą i Janem Syczewskim, jednak na tym nie zyskał. W gruncie rzeczy odwoływał się przecież do tego samego elektoratu. Czykwin być może stracił też poparcie „prawosławnych Polaków", którzy mieli mu za złe, że kandyduje jako Białorusin z listy organizacji narodowościowej. Okazuje się, że podnoszone przez niego zarzuty o rozbijanie środowiska (konflikty, podziały itp.) też przestały mieć decydujące znaczenie. Po zsumowaniu wszystkich głosów oddanych na białoruskich kandydatów widać, że mandatu i tak by nie było. Głosy te zabiera Włodzimierz Cimoszewicz, który tym razem może mieć pretensje do naszych komitetów, że przez nich stracił trzeci mandat w województwie. W dość niezręcznej sytuacji znalazł się przeto Eugeniusz Czykwin. Reprezentując Unię Chrześcijańsko-Społeczną (jej wiceprzewodniczący), popierającą SLD, w tych wyborach działał na jego szkodę, odbierając głosy Sojuszowi.

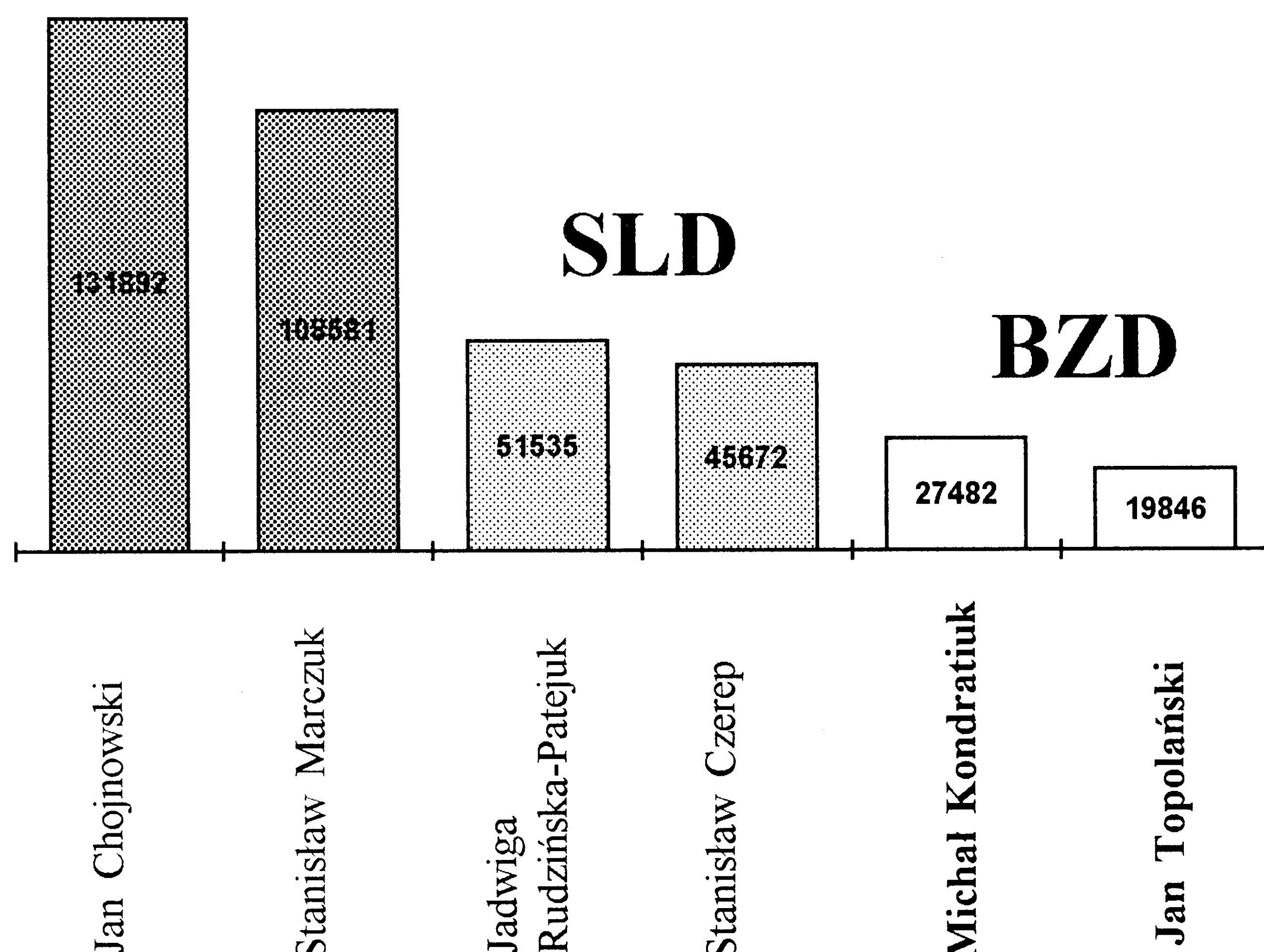
Jerzy Chmielewski

Fot. L. Tarasewicz





Kampania negatywna. Swoi plakatów jednak nie zrywali. Na strzępach wizerunku E. Wappy ktoś napisał: „Wracaj, kraj w potrzebie..."



Kandydaci w wyborach do Senatu, którzy w województwie białostockim uzyskali największą ilość głosów

Ян Сычэўскі:

Не збіраюся прадаць душы

— Віншуем з атрыманнем мандатнага месца ў Сойме. І на пачатак, калі ласка, скажыце некалькі слоў рэфлексіі непасрэдна пасля таго як Вы даведаліся, што станеце дэпутатам у Сойм Рэчыпаспалітай.

Ян Сычэўскі: Калі я даведаўся, што буду дэпутатам у Сойм, гэта выклікала ў мяне мешаныя пачуцці. Па-першае — вялікую радасць ад перамогі, таму што гэта несумненна вялікая падзея ў асабістым жыцці. Але ж, адначасова, пачуццё вялікай адказнасці перад арганізацыяй, якая падтрымала мяне ў выбарах. У шырэйшым кантэксце — гэта, зразумела, адказнасць перад усёй беларускай грамадскасцю ў Польшчы ды яе апорай — Праваслаўнай царквой.

— Што Вы, як адзіны прадстаўнік беларускіх асяроддзяў у парламенце намераны зрабіць у першую чаргу?

Я. С.: — Сёння цяжка дакладна сказаць, што менавіта ў першую чаргу. Агульна магу сказаць, што найбольш блізкімі мне будуць праблемы беларусаў і праваслаўных у Польшчы, праблемы Беласточчыны і беларускай вёскі ў ёй. Асаблівa — трагічны лёс нашых вёсак, якія паміраюць у вачах.



Хаця, калі думаю пра пасаду ці абавязкі дэпутата ў Сойм, для мяне гэта адназначна асацыюецца з агульнымі прынцыпамі дэмакратыі, якім я павінен служыць. А ўсё гэта дзеля таго — каб у нашай краіне жылося багата і бяспечна не толькі некаторым, але ўсім.

— Ці можаце ўжо назваць канкрэтныя соймавыя камісіі, у якіх вы будзеце працаваць?

Я. С.: — Працэсу працы Сойма я да канца не ведаю, бо гэта ўсяго толькі пачаткі зацікаўлення гэтай устновай. Магчыма, што трэба будзе рабіць тое, што будзе найбольш пажадана з пункту гледжання парадку дзеяння Сойма. Аднак найбольш мне блізкімі з'яўляюцца праблемы, з якімі працую ў сваёй грамадскай дзейнасці: беларускай меншасці ў Польшчы, праваслаўя ды Беластоцкага ваяводства, як аднаго з найбольш адсталых куткоў нашай краіны. Сыходзячы з гэтага, у кругу маіх зацікаўленняў знаходзяцца камісіі па справах нацыянальных меншасцяў ды асветы і культуры.

— Вы атрымалі мандат са спіску Саюза левых дэмакратаў. Наколькі, у сувязі з гэтым, Ваша дзейнасць будзе аўтаномнай, незалежнай, а ў якой ступені гэта будзе залежыць ад палітыкі СЛД?

Я. С.: — Зараз я магу сказаць толькі тое, што думаю. Як гэта будзе на самай справе — прадбачыць вельмі цяжка. Я на пачатку выбарчай кампаніі гаварыў, што не намераны прадаваць сваёй душы. Факт, што я — дэпутат ад Саюза левых дэмакратаў абсалютна не абазначае, што ў выпадку калі нехта з гэтай партыі будзе патрабаваць дзейнасці супраць беларускай меншасці — я буду гэта рабіць. Наадварот, я збіраюся змагацца за пазітыўнае рашэнне ўсіх праблемаў нашай меншасці.

У такой сітуацыі я, па-першае, павінен быць у поўным сэнсе лаяльным у адносінах да пасольскага клуба Саюза левых дэмакратаў. Барацьбу са сваім клубам я весці не буду, гэта зразумела. Але, я перакананы, што ўсё гладка адбывацца не будзе, і, мабыць, будуць разыходжанні паміж маімі поглядамі на праблемы, якія, для прыкладу, датычаць беларусаў, і поглядамі сяброў з СЛД. І ў такой сітуацыі трэба будзе пераконваць гэтых людзей, каб уключыліся ў развязку праблемаў нашага асяроддзя.

— У Сойм балатаваліся таксама прадстаўнікі іншых арганізацыяў з беларускага і праваслаўнага асяроддзя, аднак без поспеху. Ці будуць у Вас нейкія прапановы супольнай дзейнасці для гэтых асяроддзяў?

Я. С.: — Мая ідэя — служэнне нашай меншасці ў цэлым. Я ніколі навт не падумаў, што буду служыць толькі беларускаму таварыству. Калі гаварыць пра другія беларускія арганізацыі, то магу заявіць, што калі толькі з абодвух бакоў будзе добрая воля і талерантнасць, я зраблю ўсё, каб адносіны між намі разваліся добра. У такіх умовах я гатовы прадстаўляць і рашаць праблемы не толькі агульныя, але таксама — паасобных арганізацыяў. Таму што ў большай або меншай ступені яны з'яўляюцца прадстаўнікамі беларусаў у Польшчы.

Я вымушаны аднак у гэтым мес-

цы зрабіць адну засцярогу. Да гэтага часу гэтае супрацоўніцтва не заўсёды развівалася так, як павінна. Бывалі і такія сітуацыі, калі паасобныя дзеячы, а нават арганізацыі непатрэбна дзялілі беларускае асяроддзе.

— Ці ў бліжэйшы час можна ад Вас чакаць нейкіх канкрэтных прапаноў сустрэчаў, пагадненняў, супольных дзеянняў?

Я.С.: — Такія ініцыятывы будуць. Я ўпэўнены, што гэта мой гонар і абавязак, каб сваёй дэпутацкай дзейнасцю закрануць усё беларускае асяроддзе. Магчыма нават у недалёкім часе буду кантактавацца, буду сустракацца і прапанаваць супрацоўніцтва. Буду таксама мець надзею, што гэтыя кантакты прынясуць канкрэтныя рэзультаты.

— Дзякую за размову і жадаю поспехаў у працы ў Сойме.

Запісаў Юры Каліна

Яўген Вапа:

21 верасня свет не праваліўся



— Перамога спадара Яна Сычэўскага, старшыні Беларускага грамадска-культурнага таварыства сведчыць пра тое, што стаўка на супрацоўніцтва з моцнай польскай партыяй поўнасцю апраўдалася. Што датычыць мяне, як кандыдата Беларускага саюза на спісках Уніі працы, я лічу, што тут з нашага боку не было лагічнай памылкі. У выпадку, калі б гэта партыя ў маштабе краіны атрымала 8-9-працэнтную падтрымку, я стаў бы дэпутатам дзякуючы высокаму месцу на краёвым спіску. На момант, калі мы падпісвалі пагадненне з Уніяй працы, паводле статыстычных прагнозаў наш саюзнік такую падтрымку меў. На жаль, грамадства, у дэмакратычны спосаб, вырашыла інакш.

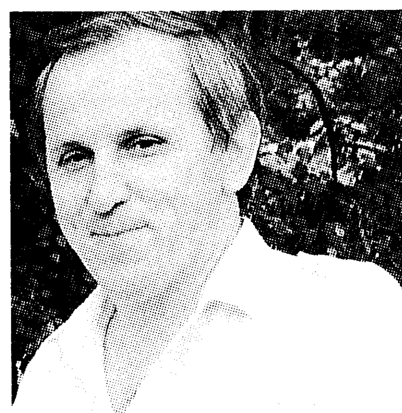
Другая выснова такая, што, пакуль што беларуска-праваслаўны электарат настолькі малы, што нават падтрымка структураў Праваслаўнай царквы не паспрыяла поспеху кандыдатаў са спіска „Праваслаўных". Таму я ўсё-такі лічу, што ў будучыні надалей трэба шукаць паразумення з нейкай моцнай польскай палітычнай партыяй, зацікаўленай у падтрымцы нашай палітычнай, гаспадарчай і культурнай праграмы.

На шчасце 21 верасня свет не праваліўся. Перад намі штодзённая пазітыўная праца, якую мы праводзілі і дагэтуль. Усе арганізацыі, сябры Беларускага саюза, працуюць сваім рытмам: выдаюцца „Ніва" і „Часопіс", кніжкі Беларускага гістарычнага таварыства і Літаратурнага аб'яднання „Белавежа". У планах — культурныя і навуковыя мерапрыемствы.

Чарговыя выбары, гэтым разам, самаўрадавыя, ужо вясной. Гэта вельмі сур'ёзная падзея, да якой наша арганізацыя павінна вельмі добра падрыхтавацца. Я лічу, што на працягу трох месяцаў мы павінны выпрацаваць стратэгію ў гэтай справе.

Яўген Чыквін:

Я наогул аптыміст



— Каб быў пасольскі мандат прынамсі для аднаго кандыдата з нашага спіску, напэўна, было б весялей. Асаблівая была б нейкая сатысфакцыя для тых людзей, якія прысвяцілі нямала свайго часу і грошай у ходзе выбарчай акцыі. Так аднак не сталася. Затое вынік галасавання пацвердзіў, што ёсць ужо дастаткова многа людзей, якія разумеюць патрэбу існавання самастойнага прадстаўніцтва праваслаўных грамадзян Польшчы ў Сойме. Што яно патрэбнае і магчымае. Гэта фактычна будзе магчымым, калі мы не здамося, не апусцім рук і надалей будзем весці працу сярод нашых людзей.

Я наогул аптыміст. Добра, што мы стварылі самастойны камітэт, паказалі, што існуем. Магчыма, што гэта памяняе адносіны польскай большасці да праваслаўных. Хаця б таму, што яшчэ нават дагэтуль існуе вельмі крыўднае для нас успрыманне ўсіх праваслаўных як камуністаў.

Наша арганізацыя не спыніць дзейнасці. Будзем адкрываць яе аддзелы ва ўсіх большых мясцовасцях і такім чынам рыхтавацца да самаўрадавых выбараў, якія адбудуцца ўжо вясной будучага года. Гэта, на маю думку, вельмі істотнае, каб у гмінных радах знайшліся людзі адважныя, з ініцыятывай, у якіх вялікі аўтарытэт у асяроддзі. Спадзяюся таксама, што так, як у выпадку парламенцкіх выбараў, так і перад галасаваннем на гмінных радных, Праваслаўная царква нас падтрымае.

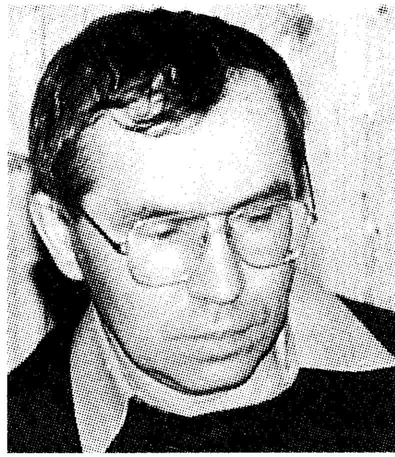
Яшчэ адна паслявыбарчая рэфлексія такая, што, на маю думку, прыйшоў ужо час, каб шукаць нейкага пагаднення з беларускімі і ўкраінскімі арганізацыямі. Мы на гэта ўвесь час адкрыты. Запрашэнне, якое было накіравана да ўсіх арганізацыяў, якія дзейнічаюць у нашым асяроддзі — увесь час актуальнае. Спадзяюся таксама, што знойдуцца людзі, якія будуць хацець сустракацца і гаварыць пра супольную будучыню. Я ў гэта веру таму, што калі мы — інтэлігенцыя — не зможам дагаварыцца, тады нашы людзі скажуць, што мы дурні або яшчэ горш: што мы свядома дзелім наша асяроддзе! Для мяне ясна, што калі мы не зможам дагаварыцца ў такіх важных справах, як самаўрадавыя выбары, тады выбаршчыкі будуць мець поўнае права сказаць, што мы іх не прадстаўляем, і ўсіх адсунуць у палітычны нябыт.

Пятро Юшчук:*

Gloria Victis!

Сардэчна дзякую ўсім тым, якія дапамагалі весці выбарчую акцыю і прагаласавалі на прафесара Міхала Кандрацюка і Яна Тапалянскага. Аддадзеныя на іх галасы ёсць доказам нашага многалюднага існавання як беларусаў. Перад выба-

рамі знайшлося каля ста асоб — членаў і прыхільнікаў Беларускага дэмакратычнага аб'яднання, якія дапамагалі мне і нашым кандыдатам весці кампанію. Ведаю, што на іх будзе можна разлічваць у самаўрадавых выбарах вясной будучага года. Ужо пачынаем дзеля гэтага працаваць. У парламенцкіх выбарах мы — БДА — з гордасцю прайгралі, у самаўрадавых — з гордасцю выйграем!



**Пятро Ючшчук, каардынатар Галоўнай рады Беларускага дэмакратычнага аб'яднання, старшыня выбарчага камітэта БДА.*

Мікола Гайдук:

Патрэбны Беларускі быбарны камітэт!



Сардэчна віншую з перамогай старшыню ГП БГКТ Янку Сычэўскага і сп. Сяргея Плеву з выбарам у паслы і веру, што будуць яны ў Сойме нашымі беларускімі галасамі. Адначасна вельмі шкадую, што не ўдалося нам увесці ў польскі парламент свайго незалежнага прадстаўніка. Але замест папрокаў ды адвечнага лямантавання, такіх уласцівых беларусам, давайце лепш прыглядзімся, як робяць тыя, што перамагаюць.

Неабходна ж вучыцца не толькі на сваіх і чужых памылках, але і на ўдачах, поспехах, трыумфах іншых.

Вядома, смяротны наш вораг — гэта раз'яднанасць, варажнеча, грызня паміж нашымі лідэрамі і дзеячамі. Любым коштам гэтага трэба пазбягаць, тушыць у зародку, байкатаваць правакатараў, выклікаючых падзелы і спрэчкі. Неабходна гуртавацца, сходзіцца і яднацца ў адзінае моцнае цэлае. Яднае людзей добра ўсвядомленае ўсімі заданне, патрэба ці проста бяда. У нашым выпадку яна ўжо існуе: кожны меней-болей свядомы беларус добра разумее неабходнасць яднання, бо разрозненыя мы прападзем, калі не ў гэтым, то ў наступным пакаленні.

Яднанне неабавязкова трэба разумець як марш па камандзе ў адну нагу ці жыццё і дзейнасць ва ўсім аднолькава, „душа ў душу". Возьмем хаця б пераможцаў у цяперашніх выбарах у парламент. AWS і ўступіўшае ёй першынство SLD складаюцца з суполак, груповак, адзінак, якія вельмі часта моцна розняцца паміж сабою палітычнымі поглядамі і імкненнямі. Але яны патрапілі падняцца вышэй гэтых розніці аб'ядначца дзеля справы найважнейшай — перамогі ў выбарах у парламент. Адразу да трыумфуючай AWS пацягнуліся іншыя меншыя партыі і групоўкі, якія амаль да самых выбараў атакавалі тую ж „Салідарнасць" і яе лідэраў. І, відаць, некаторыя з іх увойдуць не толькі ў парламенцкую, але і ва ўрадавую кааліцыю. Навука тут для нас, беларусаў, ясная і пераканаўчая: кожная беларуская арганізацыя, групоўка ці асоба няхай робіць сваю работу, абрабляе свой загон на роднай ніве і не траціць свае асабовасці, але ў справах істотных для ўсяе нашай меншасці неабходна знаходзіць кампрамісы і яднацца, станавіцца непахіснай сцяной. Маем для таго, што, з'яднаўшыся, можам перамагчы, добры прыклад у вяртанні нам Супрасльскай лаўры. За Супрасль змагаліся мы разам, нягледзячы на свае погляды, арганізацыйную прыналежнасць, асабістыя анімозіі — і Лаўра стала нашай!

Нельга нават на хвіліну забываць, што знешнія, гэтак званыя „пшыяцеле бялорусінув" дзейнічаюць і дбаюць не пра нашае, а пра сваё ўласнае дабро ці выгаду. Іхнія салодзенькія пахвальныя спевы пра беларусаў ёсць ні што іншае, як карканне груганоў у заахвочванні да нашай, беларусаў, хутчэйшай смерці. Колькі ўжо было ў нас такіх „прыяцеляў", якія заўсёды ведалі лепш за нас саміх, што нам патрэбна і карысна!.. Іх не злічыць! І заўсёды пакарысталіся намі яны, на нашым гарбе праехаліся. А калі ўжо бяда ці неабходнасць прымусіць нас далучыцца да якой-небудзь партыі ці арганізацыі, то трэба добра разважаць справу і ўважліва прыглядзецца ёй з усіх бакоў: што яна вартая сама, якая яе палітыка (не дэкларатыўная, а фактычная), як яна ўспрымаецца грамадствам і чаму раптам „закахалася" яна ў нас, пажадала „прытуліць" беларусаў. Як ужо вырашым да яе далучыцца, то „прадаваць" сваю шкуру мы павінны не танна, а добра падаражыўшыся і патаргаваўшыся ды вытаргаваўшы канкрэтную карысць для сябе... Трэба паводзіць сябе дастойна, годна, трэба цаніцца! Мяркуючы па ўсім, вельмі разумна і ўдала зрабілі так сп. Янка Сычэўскі і сп. Сяргей Плева.

Неабходна заўважыць, што мы яшчэ не ўмеем весці прагрэсіўнай кампаніі. Паддаемся такім „прыяцелям", што не шкадуюць жабрачых падачак, каб нашых „дзеячаў" за іудзіны срэбнікі нацкаваць аднаго супраць другога. І нашыя „правадыры" замест яднацца для агульнай нашай справы, кідаюцца адзін другому да горла і ў барацьбе знішчаюць усё сваё, на радасць і карысць тых жа „прыяцеляў".

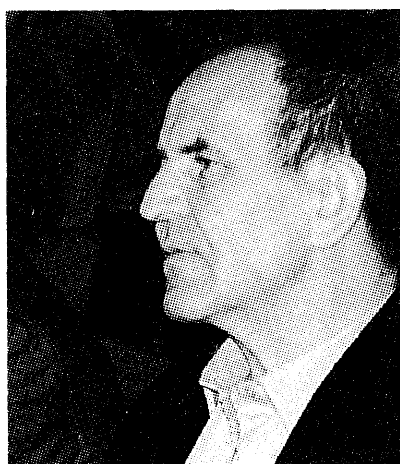
У народзе кажуць: не пара сабак карміць, як час на паляванне ісці. І ў папярэдніх і ў апошніх выбарах некаторыя нашы дзеячы браліся за справу выбараў у апошнія хвіліны. Таму не было ў іх часу належна прадумаць кампрамісы, праграму, стратэгію і тактыку цэлай кампаніі. Усё рабілася паспешліва і абы-як. І зноў звярнуся за прыкладам да AWS і SLD: на сённяшнюю перамогу ці неблагі вынік яны працавалі безупынна **чатыры** гады. Дзейнічалі прадумана, разважліва, планава, выкарыстоўвалі кожную, нават самую дробязную нагоду ці промах праціўніка, каб паслабіць яго ды ўзмоцніць сваю сілу.

У канцы неабходна заўважыць, што для агульнага дабра кожны з нас, а лідэры і дзеячы перш за ўсё, павінны ўтаймаваць сваю ганарыстасць, забыцца пра розныя сапраўдныя і надуманыя ды дробязныя крыўды, суняць свае фанабэрыі і, не абавязкова кідаючы сябе ў абдымкі, а проста як цывілізаваныя людзі працаваць дзеля перамогі ў наступных выбарах. Памятайма,

што яны могуць адбыцца не абавязкова праз чатыры гады!.. Вінаватых за нашы правалы, пагромы і паражэнні не трэюба шукаць сярод другіх ці ў варунках, у якіх жывём, бо ўсяму вінаваты перш за ўсё мы самі, нашыя памылкі, нашая нядбайнасць ці лянота, або звычайная наша дурнота. Абмеркаваўшы свае памылкі і недахопы, трэба ўжо брацца за падрыхтоўку да наступных выбараў і ў самаўправы (samorządy) і ў парламент (Sejm i Senat). Дзеля гэтага, здаецца мне, трэба стварыць з лідэраў і дзеячаў розных напрамкаў, груповак і сіл наш пастаянны **Беларускі выбарны камітэт** і працаваць, працаваць, працаваць з людзьмі. Каб мы, беларусы, займалі дастойнае месца ў прадстаўнічых органах краіны.

Сакрат Яновіч:

Do trzech razy sztuka!



Трэція парламенцкія выбары — ад знамянальнага 1989 г. — маем ужо за сабою. Выйгралі іх тыя, хто патрэбны народу. Няважна, ці ў сапраўднасці. Лічацца ілюзіі.

Беларусы ў трэці раз прайгралі, бо беларусы беларусам непатрэбныя.

Алеі навука нам ад выбараў. Першыя прайгралі, бо пайшлі **самастойна**. Паверылі ў масавы беларускі патрыятызм, якога, аказалася, няма. Крытыкі падказалі тады **яднацца з Царквою**. Збылося тое ў наступныя выбары. Таксама прайгралі. Крытыкі даўмеліся затым, што напэўна выйграем, калі беларускія кандыдаты будуць **у выбарчых спісках істотных польскіх палітычных партыяў**. Наш электарат кахае моцных, бы дзеўкі грашавітых мардабойнікаў.

Ну добра, адно крыло беларускага руху дамовілася з Уніяй працы, другое — з Саюзам левых дэмакратаў (СЛД), які будзе вось сапхнуты ў глухую апазіцыю, правай большасцю. Знайшоўся і трэці кандыдат, выразны анахронік, які яшчэ раз паверыў у моц праваслаўя народнага. І ўсе траіх ляснуліся! Тутэйшы выбаршчык не за іх **масава** прагаласаваў.

Партыі ахвотна прынялі былі беларускіх кандыдатаў. Чаму не, яны ж крыху пашырылі электарат ім. Кандыдат — беларус у спіску СЛД дастаўся ў Сойм, аднак жа, дзякуючы галасам **не** беларусаў, але **палякаў**. Вядома, не было б гэтай хвалы, калі б само СЛД не мела так магутных уплываў у цэлай Польшчы.

Унія працы, зазначу тут, мела дадатковы інтарэс: беларускі кандыдат меўся палепшыць яе мізэрныя фінальныя выбарчыя вынікі, паратаваць. Усё раней паказвала на благое ёй: у новым Сойме не будзе месца для гэтай партыі. Так і сталася.

Я, асабіста, галасаваў за нашага беларуса ў спісках Уніі працы. Хоць размешчаны ён быў так, што не меў шанцаў нават у выпадку выбарчай удачы ўсяе партыі. Яна, бедная, ад пачатку свайго існаванння "дыхае на ладан". Ды мне залежыла на чым іншым — хай хлопец пакруціцца ў перадпакоі вялікай палітыкі, падвучыцца. Сам лёс спаслаў яму някепскі палітычны палігон. Gra warta świeczki! Бо, колькі ў нас тых, хто цяміць у мастацтве палітыкавання? Смутна разумею, што ніхто.

Цалкам асобная справа з нашымі кандыдатымі ў сенатары. Пры ліміце ўсяго **двух** сенацкіх крэслаў ад Беластоцкага ваяводства — з трыццацю працэнтамі ў ім беларусападобенскага насельніцтва — думаць пра выбарчую перамогу мог толькі наіўны чалавек. Аднак і на іх я галасаваў (і жонцы сваёй падказаў). Хоць прыгажэй быць наіўным, чымсьці несімпатычным хітруном, думаў я як быццам пасярэдзіне: геаграфія лічбаў аддадзеных на іх галасоў пакажа патэнцыяльныя магчымасці будучай дзейнасці прэзентаванага імі Беларускага дэмакратычнага аб'яднання.

Паважаныя Спадарыні і Спадарове, палякі любяць казаць: Do trzech razy sztuka! Брутальная праўда такая, што і ў будучым не будзем мець самастойнага, як польскія немцы, беларускага прадстаўніцтва ў парламенце, у Сойме. Ну не і не! Хоць нас, беларусаў, не так і мала, але мы яшчэ не нацыя, а ўсяго пакуль разгубленае ў польскім атачэнні няпольскае насельніцтва, якому здаецца, што, калі хто моцны ў Польшчы пекна гаворыць да яго, то і любіць і паможа. І ўзнагародзіць спецыяльнай ласкай ажно і за тое, што не дурыць яно панскай галавы сваімі бедамі. Рыхтык парабкі ў даўнім двары. Такія мы людзі і доўга такімі будзем, вельмі доўга. Будзьма рэалістамі, нарэшце.

Як не дзіўным можа падацца, але нашы кандыдаты ў Сенат даюць найбольш падставаў ісці дапераду. Маю тут на ўвазе выбары ў гмінах. У папярэднія — татальная перамога Беларускага дэмакратычнага аб'яднання ў Гарадоцкай гміне паказвае цяпер нам усім, на чым трэба якраз канцэнтраваць свае высілкі. У шэрагу гмінах рэальна можам мець **не** выпадковую ўладу і **не** выпадковых войтаў, а — так сказаць — сваіх, напраўду намі выбраных і пад нашым, грамадскім, кантролем. Тут мы акурат моц, якую трэба разбудзіць і арганізаваць. Бо ў мностве гмінаў нас, беларусаў, не трыццаць працэнтаў, як у цэлым ваяводстве, але і пад дзевяноста нярэдка. **У гмінах мы не меншасць**, от у чым фокус.

Р.Ф. БРАГА:

PALITYKA

DA NAS ZAUSIODY PRUJAŻDŻALI
I CZUŻYJA I SWAJE
I KOLKI NAM NIE ABIACALI...
BRALI AD ZADU I PAKIDALI U HAUNIE
A MY, UDZIACZNY IM ZA TOJE,
CZAKALI NA NASTUPNY RAZ

SUKA!

(...) WYBARCZYJA CACKI, ABIACANKI
MASS MEDYJA, FESTY,
RYNAK HAŁASOU
A KOŻNY ŚWIATY I ŚWIET ZMIENIĆ
SINIM WACZAM TY BOLSZ NIA WIER

BO IM NASRAĆ NA NASZY SPRAWY
NA BIESPRACOUJE, HOŁAD I BIADU
SZTO STRACH NA WULICU
WYJŚCI Z CHATY
SZTO CHOCZAM TOLKI HODNA ŻYĆ (...)

З альбому „Шызафрэнія", 1997 г.

Bycie sobą

Niewątpliwie całkowitą rację mają ci, którzy twierdzą, iż człowiek najbardziej jest sobą w pracy mianowicie. W nielubianej także wyraża on swoją osobowość, ambicje i marzenia. Bycie sobą wszak nie polega na gadaniu, lecz na uczynkach i czynach właśnie.

Bez pracy nie ma ludzkości, o czym wiedziano na długo przed Chrystusem. I nie chodzi tu o pracę pojmowaną jako machanie łopatą czy orka koniem w polu. Taka akurat jest najmniej wydajna i nie zapewnia przyszłości narodom. Czy można sobie wyobrazić teraz, by czterdzieści milionów mieszkańców Polski niczym innym się nie trudniło jak tylko prostym wysiłkiem fizycznym? Toż to byłaby zupełna klęska i nędza, porównywalna z dawnym głodem i chłodem na przeludnionej wsi lub w proletariackim mieście.

Praca ludzka jest jednak — niestety — podatna na te same schorzenia psychiczne i deformacje społeczne jak każda inna aktywność jednostkowa i grupowa. Aby mogła zaiste być nią, musi odpowiadać zasadzie minimalnego wkładu energii przy uzyskaniu maksymalnego wyniku końcowego, czemu służy nauka, a w szczególności wiedza inżynieryjna. Przykładowo — kopaczka ziemna wykonuje w ciągu jednej godziny więcej w budownictwie lądowym, aniżeli kiedyś za okrągły dzień tysiące chłopów pańszczyźnianych z okutymi żelazem szpadelkami dębowymi.

*Deformacje zaś społeczne trudu pracowniczego dobitnie określa pojęcie pracy niewolniczej. Ponieważ stosunki niewolnicze w swej czystej postaci nieomal o tysiąclecie dłużej utrzymały się w Europie właśnie na obszarze Słowiańszczyzny, w językach słowiańskich zatem aż po obecne czasy obserwujemy dwunazwę trudu: **praca** lub **robota**. To drugie określenie wywodzi się najpewniej z rzeczownika „rab" (w starosłowiańskim zapisie „raab"). Oczywiście, że „rabotać" nie jest emocjonalnie tożsame z „pracować". Źle przysłużyła się w tym względzie też postpogańska mitologia chrześcijańska, śródziemnomorski mit utraconego Raju, swego rodzaju przekleństwo „żywota w pocie czoła" i w grzechu pierworodnym. Wieki feudalizmu natomiast wcisnęły się do naszych genów przemożnym atawizmem, który każe stronić od jakiejkolwiek w ogóle roboty, w myśl ludowej niby-mądrości „Robota lubi głupiego".*

Przy takim ukierunkowaniu do otaczającej rzeczywistości — rzecz jasna — wszelkie próby bycia sobą podświadomie poniekąd uwzględniały ową poprawkę, by nie wyjść na głupca.

Mimo średniowiecznego kultu ubóstwa, a współcześnie komunistycznej urawniłowki (wszyscy są siermiężnie równi), prawa rozwoju zbiorowości ludzkiej stale wytwarzały różnice poziomów, powodowały ruchy elit. W stojącej wodzie bowiem nic się nie dzieje, rechoczą jeno żaby i mnożą się kijanki. Jeśli cywilizacja rycersko-rolnicza podwajała swój potencjał materialny ledwie przez każde pięćset lat, to w rozwiniętym kapitalizmie dystans ów uległ aż dziesięciokrotnemu skróceniu, by na progu trzeciego tysiąclecia po Chrystusie zmniejszyć się niebawem o połowę (czyli w cyklu dwudziestu pięciu lat). To już rewolucja naukowo-techniczna, która na Zachodzie powoduje eliminację bezpośredniego zaangażowania człowieka w wycieńczającą pracę produkcyjną, na rzecz wysublimowanej umysłowej, np. drogą robotyzacji i sterowania procesami naturalnymi w celach wytwórczych. U nas, w stosunku do wiodących krajów Unii Europejskiej, ciągle kilkakrotnie więcej czynnej zawodowo ludności tkwi w przestarzałym przemyśle i anachronicznym rolnictwie. Ciągle mamy jednocześnie dziesięciokrotnie mniej osób z wyższym wykształceniem, gdy tymczasem nie najbogatsza ponad pięciomilionowa Szkocja dysponuje u siebie — bagatela! — jedenastoma uniwersytetami.

Bycie sobą pięknie owocuje. W nie tak znowu odległej przeszłości, w porze władania Europą przez kilka imperiów, ówczesna strefa dobrobytu nawet w przybliżeniu nie odpowiadała terytorialnie dzisiejszej. Z anektowanej przez Anglików Irlandii emigrowały do Ameryki Północnej całe okolice, by uniknąć wręcz śmierci głodowej. Nie lepiej się mieli — zależni od kaprysów mocarstw ościennych — góralscy Szwajcarzy, dziś znajdujący się w czołówce najzamożniejszych narodów świata; onegdaj byli oni ludem najemników, właściwie parobków, co pozostało w słownictwie europejskim pod pojęciem szwajcarów hotelowych czy żołdackiej gwardii szwajcarskiej. O dziwo na pozór, cierpieli nędzę również Szwedzi, dominujący ówcześnie w Skandynawii. Nie mówiąc o Hiszpanach, nad imperium których przedtem nigdy nie zachodziło słońce... Oczywiście, wiele istotnych przyczyn złożyło się na ich późniejsze wydobycie się z potępieńczego dołka na skalę ogólnonarodową, ale zatrzymam się na głównej — na pracy mianowicie.

Słyszy się czasami, że łatwo im być sobą, stawiać się, skoro są przy takiej pęcznej kabzie. Owszem, są, ale nie dzięki bogactwom naturalnym, którymi, na przykład, jest wprost nafaszerowana Rosja, znajdująca się zarazem na szarym końcu pod względem poziomu życia jej obywateli. Żywa to ilustracja tego, iż źródłem bogactwa ludowego nie jest błyszczące złoto ani ropa naftowa, co wnet zrozumieli Norwedzy, ostro ograniczając wydobycie swego „czarnego złota", olbrzymie zapasy którego odkryto ostatnio pod dnem ich wód terytorialnych. Słusznie obawiają się oni, by strumień petrodolarów nie zdemoralizował kraju, nie wypłukał zeń etosu pracowania na własny rachunek. Szczęście bowiem ma to do siebie, że się kiedyś kończy, niczym gorąca miłość, i wróci powszedniość, zabójcza potem dla rozleniwionych w międzyczasie — dajmy na to — tychże Norwegów... Norweskie bycie sobą każe rządowi w Oslo ostrożnie traktować wchodzenie do Unii Europeskiej, jako że pańska łaska na pstrym koniu jeździ. Ciągną do tej Unii biedni, niczym w starożytności Hunowie do Rzymu. Norwedzy nie muszą. Ich przodkowie, znani pod imieniem Wikingów, przecież nie z rozkoszy w skalistej i zimnej ojczyźnie szlajali się zbójecko po świecie, docierając do Persji i Afryki arabskiej... Biedę mają dawno za sobą.

Ale tylko we własnym domu nie jesteś obcy. Co znakomicie udowodnili Islandczycy, narodowość prawie o połowę mniejsza niźli liczebność mieszkańców Białegostoku, która to jeszcze na początku dwudziestego wieku — będąc kolonią duńską — dosłownie wymierała. Dzisiaj ta niepodległa, ale zimna wyspa rybaków na Atlantyku — bez żadnych bogactw naturalnych, prócz gejzerów — pyszni się wypracowanym własnym wysokim dobrobytem, ponad setką profilowych pism, przetłumaczeniem na swój język literatury światowej, posiadaniem przez statystyczną rodzinę biblioteki domowej z kilku do kilkunastu tysięcy książek, kultem oczytania i wykształcenia... Wystarczyło im na to czasokresu dwóch-trzech pokoleń bycia sobą jako naród. Nic tak bowiem nie niszczy ludzi i społeczeństw, jak oglądanie się na czyjąś łaskę albo wyczekiwanie jakiegoś cudu. Tak zachowują się i żyją jedynie durnie, lenie i pijacy. Bo chociażby kurwy jednoczą się w dochodowe burdele...

Sokrat Janowicz

КАСТРЫЧНІК



Зубр. Гравюра Я. Куліка з кнігі М. Гусоўскага „Песня пра Зубра", Мастацкая літаратура, Мінск 1980

■ ...гадоў таму

735 — У канцы 1262 г. быў заключаны дагавор паміж вялікім князем Старабеларускай дзяржавы (Вялікага княства Літоўскага) Міндоўгам і вялікім князем уладзімірскім Аляксандрам Неўскім аб сумеснай барацьбе супраць лівонскіх (інфлянцкіх) крыжакаў.

450 — Каля 1547 г. нар. Мацей Стрыйкоўскі (пам. каля 1593 г.), паходзіў з польскай незаможнай шляхты, абсальвент Кракаўскага універсітэта, усё дарослае жыццё пражыў на беларускіх землях, у тым пры дварах уладальнікаў Сямяціч, Харошчы, Заблудава, аўтар, між іншым, такіх твораў як: „Пасланец цноты" (1574), прысвечанага мінуламу Польшчы і Вялікага княства Літоўскага, вершаванай хронікі „Пра пачатак... слаўнага народа літоўскага, жамойцкага і рускага" (1578, тут: літоўскі — гэта беларускі, жамойцкі — літоўскі, рускі — украінскі). Самы яго значны твор — „Хроніка польская, жамойцкая і ўсяе Русі" (1582), у якой ён выкарыстаў многа дакументаў, якія пасля беззваротна загінулі. „Хроніка" — адна з важных крыніц ведаў пра мінулае беларускага, украінскага і літоўскага народаў, яна цэлыя стагоддзі была асноўным падручнікам па гісторыі гэтых народаў.

285 — У 1712 г. нар. Сцяпан Аскерка (год смерці невядомы), паходзіў з сям'і заможнага шляхціча з Наваградчыны, пратэстант, якога езуіты прымусілі прыняць каталіцызм, але ён пры першай нагодзе парваў з гэтым веравызнаннем. Вучыўся ў Слуцкай гімназіі і ў Берліне, быў дарадчыкам караля Фрыдрыха II. Напісаў і прадставіў яму выдатнае наватарскае эканамічнае даследаванне „План, які не з'яўляецца нормай" (1760). У ім выклаў план пабудовы грамадства, якое ў некаторай ступені здзейснена толькі ў нашы часы. Германію лічыў сваёй другой айчынай, а думкамі быў на Беларусі.

280 — У 1717 г. нар. Кароль Вырвіч (пам. у 1793 г.), паходзіў з сям'і незаможнага беларускага шляхціча з Браслаўшчыны, выхаванак езуіцкіх калегіумаў Пінска і Дынабурга, педагог, філосаф, выхаваўца сына віленскага ваяводы, з якім паглыбляў веды ў Францыі, Англіі, Германіі, прафесар затым рэктар Collegium Nobilium — узорнай школы для магнацкай моладзі ў Варшаве, прыбліжаны караля Станіслава Аўгуста, аўтар падручнікаў: „Паходжанне сучасных дзяржаў і народаў" (1769), „Кароткае сістэматычнае выкладанне ўсеагульнай гісторыі" (1766-71), „Сучасная геаграфія" (1773), „Усеагульная геаграфія" (1786).

180 — 15.10.1817 г. пам. Андрэй Тадэвуш Банавентура Касцюшка (нар. 30.11.1745 г. у фальварку Сяхновічы на Берасцейшчыне ў сям'і беларускага шляхціча) — вядомы палітычны і ваенны дзеяч Рэчы Паспалітай і ЗША. Лічыў сябе „ліцвіном" — г. зн. беларусам.

160 — 22.10.1837 г. нар. Вікенцій Макушаў (пам. 14.03.1883 г.), гісторык, філолаг, славяназнавец, паходзіў з Бярэсця, выхаванец Пецярбургскага універсітэта, расійскі дыпламат, прафесар Варшаўскага універсітэта. Сяродяго прац: зборнік „Артыкулы пра паўднёва-славянскія землі" (1866), „Італьянскія архівы і матэрыялы... (па) славянскай гісторыі" (1870), „Сляды рускага ўплыву на старапольскую пісьменнасць" (1876).

140 — 8.10.1857 г. нар. Платон Жуковіч (пам. 12.12.1919 г.), гісторык Беларусі, Польшчы і Украіны. Атрымаў вышэйшую праваслаўную духоўную адукацыю, прафесар Пецярбургскай духоўнай акадэміі, сярод яго прац: „Кардынал Гозій і польскі Касцёл яго часу" (1882), „Соймавая барацьба праваслаўнага заходнярускага дваранства з царкоўнай уніяй" (1901-12), бібліяграфія па гісторыі Беларусі.

100 — 3.10.1897 г. нар. Міхась Дуброўскі (пам. 11.09.1983 г.), пісьменнік, выкладчык вышэйшых школ у Расіі і на Беларусі, у тым у Бярэсці і Гародні, у друку выступіў у 1918 г., пісаў вершы, п'есы, артыкулы.

— 15.10.1897 г. нар. Мікола Пігулеўскі (пам. 16.03.1967 г.), спявак (барытон), на сцэне з 1920 г., саліст Нацыянальнага тэатра оперы і балета Беларусі, удзельнік Беларускага вакальнага квартэта, у рэпертуары меў многа апрацовак беларускіх народных песень і твораў беларускіх кампазітараў.

— 21.10.1897 г. нар. Яўхім Мінін (загінуў у ГУЛАгу ў 1941 г.), графік, вучань і супрацоўнік М. Шагала, потым выкладчык Віцебскага мастацкага вучылішча (з 1920 і да арышту ў 1937 г.), у мастацкіх выстаўках удзельнічаў з 1925 г. Як адзін з нямногіх беларускіх мастакоў з высокімі ацэнкамі выстаўляўся ў Заходняй Еўропе. Сярод яго твораў ксілагравюрныя серыі „Стары Віцебск” (1926-28), „Помнікі драўлянага дойлідства Беларусі” (1927-28), „Вайна” (1932), шэраг акварэляў.

90 — 15.10.1907 г. нар. Раман Сабаленка (пам. 13.05.1975 г.), пісьменнік, журналіст, двойчы арыштоўваны НКУСам, усю II Сусветную вайну на фронце. У друку выступіў у 1927 г., пачынаў з вершаў і выдаў некалькі зборнікаў паэзіі, у тым „Брагінь” (1935), потым заняўся прозай і выдаў болей за дзесяць зборнікаў аповесцей, апавяданняў, нарысаў, трылогію „Іду ў жыццё” (1958-63).

85 — 20.10.1912 г. нар. Ніна Паслаўская, жывапісец, у выстаўках удзельнічае з 1941 г., стваральніца пейзажаў і нацюрмортаў. Сярод твораў: „У лесе” (1956), „Нацюрморт з яблыкамі” (1957).

75 — 28.10.1922 г. нар. Міхась Даніленка, пісьменнік, настаўнік, журналіст, франтавік, друкуецца з 1940 г., аўтар некалькіх кніг прозы для дзяцей.

65 — 2.10.1932 г. нар. Валянціна Антонава, спявачка. З 1952 г. салістка Дзяржаўнага народнага хору Беларусі, выступала ў ягоных ансамблях „Купалінка”, „Харошкі”, канцэртавала ў Польшчы, у тым і на Беласточчыне.

— 3.10.1932 г. нар. Васіль Сабалеўскі, жывапісец, у выстаўках удзельнічае з 1956 г., пейзажыст. Сярод твораў: „Лістападаўскі дзень” (1958), „Ранняя вясна” (1968), „Зімовы вечар” (1971), „Восень на рацэ Лясная” (1982, з родных мастаку ваколіц пад Белавежскай пушчай), „Апошні снег” (1985).

60 — 1.10.1937г. нар. Андрэй Мдывані, беларускі кампазітар грузінскага паходжання, педагог. Сярод твораў: балет „Данко” (1977), аперэта „Дзяніс Давыдаў” (1982), 7 сімфоній, араторыі, сімфанічныя паэмы: „Фрэскі” (1967), „Пахаванне Хатыні” (1971); эпітафія „Памяці Стравінскага” (1982), канцэрты для розных інструментаў, харавыя цыклы, песні на словы беларускіх паэтаў.

— 31.10.1937 г. нар. Яўген Кулік, графік, выхаванец Беларускай мастацкай акадэміі, выдатны ілюстратар кніг беларускіх аўтараў, закаханы ў беларускай мінуўшчыне, актыўны дзеяч апазіцыйнага руху. Сярод яго прац: малюнкі-рэканструкцыі „Замкі Беларусі” (1977), ілюстрацыі да „Песні пра зубра” М. Гусоўскага, твораў Я. Купалы і іншых беларускіх пісьменнікаў.

50 — 20.10.1947 г. нар. Юрка Голуб, паэт, працаўнік тэлебачання і радыё, а таксама друку ў Гародні, друкуецца з 1963 г., аўтар некалькіх зборнікаў паэзіі і кніжак для дзяцей. Бывае на Беласточчыне.

(мг)

■ Калісь пісалі

Нова-Дворская вол. (Сакольскі пав.)

Як ведама, Сакольшчына ўжо даўно прылучана да Польшчы, ня пытаючыся нас, сакольскіх беларусаў. Нас цяпер хочуць вырабіць на свой капыл, хочуць з нас зрабіць палякаў: паадчынялі (у іншых месцах прымусам) польскія школы, пабралі маладых мужчын у войска, пазачынялі цэрквы, ва ўсіх урадах, навет гмінных, прымушаюць гаварыць абавязкова папольску, гаворачаму пабеларуску не адказваюць. Жыцьцё зрабілася для нас цяжкім. У кожнай вёсцы жыхароў разьдзялілі на два лагеры, хутчэй сказаць на два народы па рэлігіі: каталікоў называюць палякамі, а праваслаўных рускімі, і апошнія заўсёды лаюцца на грунце дзяржаўнасці.

З каталікоў бяруць страшэнныя грошы на адбудову касьцёлаў з цэркваў: каб пахаваць памёршага з ксяндзом, трэба дзесяць пудоў жыта, што выносіць на цяперашнюю валюту каля 15.000 польск. марак; за шлюб бяруць яшчэ балей. Але ўсё гэта ніпачом: кожны цёмны католік-беларус гатоў аддаць сваю апошнюю сарочку на касьцёл і на „сьвенту вяру”.



Фота У. Завадскага

Ксёндз у воласьці цар і бог, ні адзін сход, ні адны выбары не абыдуцца без яго, усёды ён кіруе. Нядаўна ў Новым Дварэ па просьбе праваслаўных сялян была адчынена Нова-Дворская царква. Учуўшы, сяляне з усіх вёсак, як на ўрачыстасьць, сабраліся да цэрквы, так што навет месца не хапіла ў царкве, дык стаялі за брамаю, дзівіліся ўсе каталікі, скуль магло набрацца столькі, як яны кажуць, „кацапаў”, і данесьлі кяндзу, а ксёндз знай сваю справу — зараз да жандараў, да Сакольскага Старосты, а можа і далей данёс, і царкву на трэці дзень зачынілі.

Сьвядомых беларусаў зусім мала, трэба ўсім, каму дорага справа роднай Сакольшчыны, паважна падумаць і паклапаціцца аб усьведамленьні, першым чынам трэба газэты, бо ніякіх арганізацыяў легальных закладаць немагчыма. Нас ёсць гурток, хоць невялічкі, сьвядомых беларусаў, каторы і зьвяртаецца да Нацыянальна-Палітычнай Нарады ў Празе-Чэшскай паклапаціцца і аб нашай Сакольшчыне, бо мы-ж таксама беларусы, але, дзеля таго што мы загнаны, сваіх прадстаўнікоў паслаць на Нараду ня можам.

Селянін

(„Беларускія ведамасьці”, 10.X.1921 г.)

■ REGION

Białystok

● 1 września w Szkole Podstawowej Nr 4 sześciu uczniów jednej z klas pierwszych rozpoczęło naukę języka białoruskiego. Dziesięcioro innych maluchów, uczniów różnych białostockich szkół podstawowych, od początku października raz w tygodniu będzie poznawać język i kulturę swych białoruskich przodków w ramach oddziału międzyszkolnego w Szkole Podstawowej Nr 11, przy ul. Poleskiej. Zajęcia w obu grupach prowadzi mgr Alina Wawrzeniuk, na co dzień nauczycielka języka białoruskiego w Szkole Podstawowej Nr 3 w Bielsku Podlaskim.

● 4 września delegacje ludności tatarskiej z Polski, Białorusi, Litwy, Tatarstanu i Uohmurtii wzięły udział w obchodach 600-lecia osadnictwa Tatarów w Polsce. Uroczystości otwarcia dokonał Izmuił Aleksandrowicz, mufti z Białorusi.

● Z końcem września obowiązki konsula generalnego Republiki Białoruś



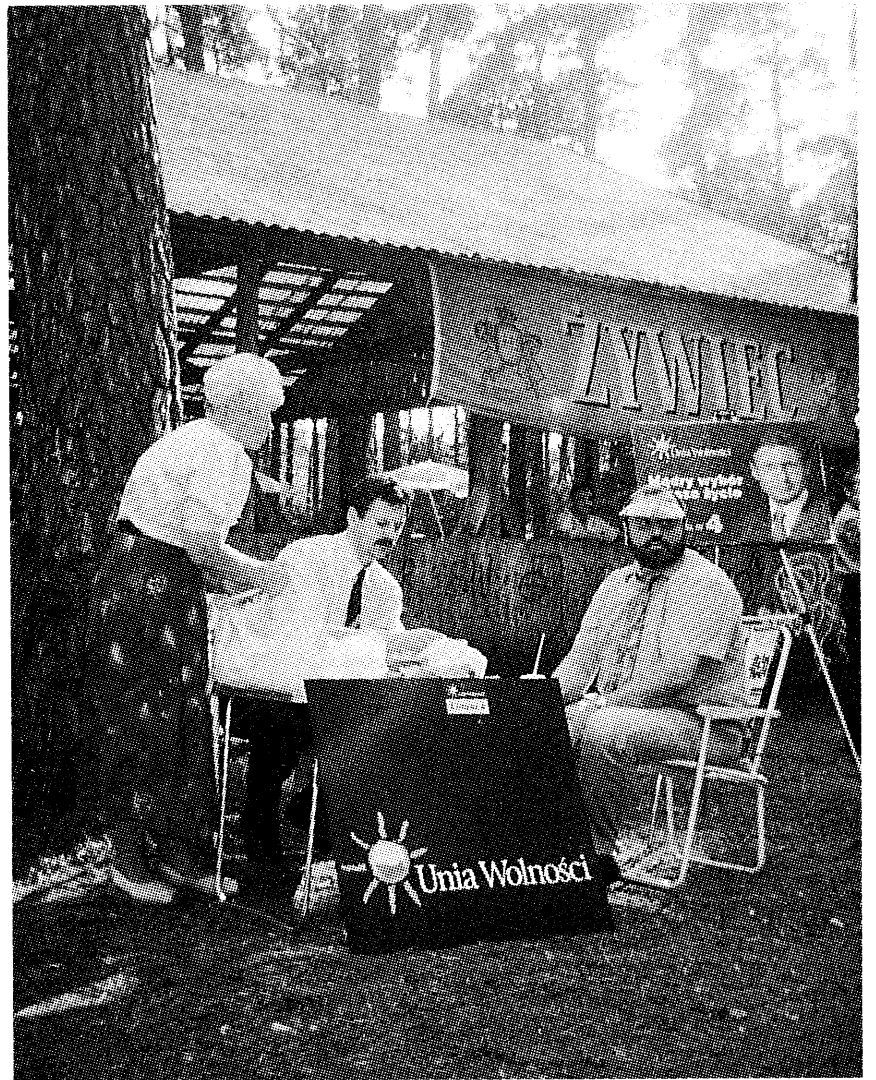
Fot. Archiwum

przestał pełnić Michał Ślamniou (na zdjęciu). W ramach rotacji kadr zastąpi go Michał Kreczka, ostatnio radca w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, a poprzednio wiceminister spraw wewnętrznych. Michał Ślamniou prawdopodobnie zostanie rektorem którejś z białoruskich uczelni.

● W samodzielnym Uniwersytecie w Białymstoku będzie filologia białoruska. Zdaniem rektora, prof. Adama Jamroza, powstanie ona na bazie, powołanej w czerwcu br., Katedry Kultury Białoruskiej. Kierująca nią prof. Elżbieta Smułkowa zaproponowała pracę historykom z naszego środowiska — dr Helenie Głogowskiej, dr. Olegowi Łatyszonkowi i dr. Eugeniuszowi Mironowiczowi.

Bielsk Podlaski

● Kuriozalny przebieg miał festyn wyborczy, zorganizowany 7 września przez Radę Rejonową SdRP w Bielsku Podlaskim, we współpracy z Zarządem Głównym Białoruskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego w Białymstoku. Prowadząca koncerty sekretarz Walentyna Łaskiewicz wprost ze sceny zarzuciła władzom miasta, że nie zechciały opłacić artystów. Powodem tych słów była odmowna odpowiedź magistratu na telefoniczną prośbę o pomoc finansową trzy dni przed festynem złożoną przez pracownika Biura Poselsko-Senatorskiego SLD w Bielsku. Swą odmowę władze miasta argumentowały politycznym charakterem imprezy. — Jeśliby z kasy miejskiej dać pieniądze na wiec wyborczy jednym, to trzeba i drugim — oświadczył przewodniczący Rady Miasta Bazyli Leszczyński. — A poza tym nie w takiej formie i nie w takim terminie składa się wnioski o dofinansowanie.



W uroczysku „Boryk” pod Gródkiem w czasie gminnego festynu białoruskiego kampanię wyborczą prowadziły prawie wszystkie ugrupowania polityczne

Fot. J. Chmielewski

Bielsk Podlaski — Hajnówka

● 30 sierpnia na Białostocczyźnie gościli prezydent Aleksander Kwaśniewski i premier Włodzimierz Cimoszewicz. W ramach objazdu gmin Ściany Wschodniej, w Bielsku Podlaskim odwiedzili UNIBUD, w cerkwi w Czyżach (na zdjęciu) postawili świece, w Hajnówce wzięli udział w uroczystości otwarcia nowej oczyszczalni ścieków, w Narewce zwiedzili nową szkołę podstawową, a w Łosince byli obecni na festynie BTSK. Po drodze mieszkańcy witali ich chlebem i solą, a białoruskie chóry śpiewały im „Mnohaja leta”.



Fot. Archiwum

Gródek

● 31 sierpnia odbył się doroczny gminny festyn białoruski, zorganizowany przez samorząd lokalny i Białoruskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne. Podobnie jak w roku ubiegłym nie obyło się bez akcentów politycznych. Mimo wcześniejszych ustaleń wójta Eugeniusza Siemieniuka z przewodniczącym Janem Syczewskim, że festyn będzie wolny od polityki, sekretarz BTSK, Walentyna Łaskiewicz, ze sceny namawiała widzów, aby głosowali na kandydatów Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Wśród publiczności ulotki rozdawali przedstwiciele innych sztabów wyborczych — Unii Wolności, Stowarzyszenia Słowiańskiej Mniejszości Narodowej RP -Prawosławni, Unii Pracy i Białoruskiego Zjednoczenia Demokratycznego.

Juszkowy Grud gm. Michałowo

● 25 września odsłonięto pomnik poświęcony powstańcom styczniowym z

terenów byłego starostwa jałowskiego. W pobliskim lesie, gdzie stanął pomnik, 20 września 1863 roku rozegrała się bitwa, w której zginęło kilkunastu powstańców. Inicjatorem przedsięwzięcia było Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Michałowskiej, które od dwóch lat gromadziło odpowiednie fundusze, pochodzące między innymi z loterii fantowej. Pomnik przedstawia dwa masywne metalowe krzyże (prawosławny i katlolicki) z obeliskiem pośrodku, na którym znajduje się pamiątkowa tablica. Pomnik został poświęcony przez duchownych prawosławnego i katolickiego z pobliskiej Jałówki.

Kuźnica Białostocka

● Białoruskie służby celne na przejściu granicznym zatrzymały grupę obywateli z państw azjatyckich (byłych republik ZSRR) z zakupionymi na zachodzie Europy używanymi samochodami. „Szczęśliwi" posiadacze własnych czterech kółek nie mogli przekroczyć granicy Republiki Białoruś bez uprzedniego uiszczenia tzw. zabezpieczenia, czyli opłaty za wwożony samochód w wysokości przekraczającej niejednokrotnie jego wartość (nawet do tysiąca dolarów amerykańskich). Nowe przepisy władze białoruskie wprowadziły dość nieoczekiwanie, tak że większość niefortunnych posidaczy samochodów dowiedziała. się o nich dopiero na przejściu w Kuźnicy. Ludzie ci, nie dysponując odpowiednimi sumami pieniędzy, koczowali na granicy bez żadnej opieki, gdyż najbliższe przedstawicielstwa dyplomatyczne ich krajów znajdują się w Moskwie.

Narewka

● Z udziałem białostockiego kuratora Tadeusza Kaluty i metropolity Bazylego 1 września odbyła się wojewódzka inauguracja nowego roku szkolnego, połączona z oddaniem do użytku nowego budynku szkoły.

Sokółka

● Znany polski reżyser Jacek Bromski 2 września rozpoczął kręcenie zdjęć do swej nowej komedii pod roboczym tytułem „Marusia". Film opowiada o perypetiach handlarzy z Rosji i Białorusi na białostockich bazarach. Zdjęcia kręcono też w Supraślu, Królowym Moście, Kuźnicy Białostockiej i na największej w Polsce północno-wschodniej targowicy przy ul. Kawaleryjskiej w Białymstoku.

■ KRAJ

Gdańsk

● Wydarzeniem muzycznym obchodów 1000-lecia Gdańska był występ Chóru Państwowego Białoruskiej Akademii Muzycznej z Mińska pod kierownictwem Wiktara Rowdo. 14 września wykonał on VII symfonię Gustawa Mahlera.

Krynica Górska

● W VII Forum Gospodarczym Polska-Wschód wzięło udział 500 polityków i przedsiębiorców z Polski, Białorusi, Litwy, Kazachstanu, Rosji i Ukrainy. Wicepremier, minister finansów Marek Belka w swym wystąpieniu powiedział, że kraje Europy środkowej i wschodniej, dokonując u siebie reform gospodarczych, powinny wzorować się na sprawdzonych sposobach innych państw, a nie szukać indywidualnych metod. Szef delegacji białoruskiej, wicepremier Piotr Prakapowicz, był odmiennego zdania. Poinformował on, iż jego kraj nie zamierza dokonywać decentralizacji gospodarki państwowej w szybkim tempie. Obecnie prywatyzuje się tylko małe firmy, a zachodni kapitał Białoruś chce przyciągnąć jedynie do małego biznesu. Reformę gospodarczą — zdaniem Prakapowicza — jego kraj przeprowadzi po swojemu.

Warszawa

● Ministerstwo Edukacji Narodowej zatwierdziło uzupełnienie programu nauczania geografii o tematykę białoruską i regionalną w szkołach podstawowych i liceach ogólnokształcących z dodatkową nauką języka białoruskiego. Została ona opracowana przez mgr. Jerzego Bajenę, nauczyciela geografii w Szkole Podstawowej nr 3 w Bielsku Podlaskim, z inicjatywy Komisji do spraw Szkolnictwa Białoruskiego w Polsce. Materiały rozesłane przez MEN do szkół województwa białostockiego zalecają uwzględnić w nauczaniu geografii takie tematy, jak: problemy społeczne i kulturalne białoruskiej mniejszości narodowej, geografię Republiki Białoruś, białoruski obszar etniczny w ciągu wieków, obiekty sakralne, nazwy pól, dróg, uroczysk, obrzędy, zwyczaje, pieśni i tradycje wschodniej Białostocczyzny.

Wigry k. Suwałk

● Ośrodek „Pogranicze — sztuk, kultur, narodów" w Sejnach i Fundacja „Pogranicze" w dniach 24-28 września zorganizowały Spotkanie Filmowe „Camera Pro Minoritate". Było ono poświęcone filmom dokumentalnym (kinowym i telewizyjnym) o małych narodach, mniejszościach narodowych i grupach etnicznych zamieszkujących Europę Środkowo-Wschodnią. Program obejmował przegląd reportaży i programów telewizyjnych, prezentacje autorskie twórców podejmujących tematykę małych ojczyzn i narodów oraz sympozjum „Massmedia wobec problemu wielokulturowości". W spotkaniu wzięli udział reżyserzy filmowi, intelektualiści i dziennikarze z Polski i zagranicy.

■ REPUBLIKA BIAŁORUŚ

Lida

● 31 sierpnia został uroczyście oddany drugi w Białorusi (po Grodnie) Dom Polski. Pieniądze na jego budowę przekazała Wspólnota Polska. Stowarzyszenie Pomocy „Rubież" z Białegostoku przesłało książki. Wykonawcą robót była firma „Skalski" z Krakowa, która wybudowała obiekt w ciągu dwóch lat. Jego właściciel — Związek Polaków na Białorusi — w najbliższym czasie planuje wybudowanie polskiej szkoły w Nowogródku. Już obecnie jest tam sześć klas z językiem polskim.

Mińsk

● 30 sierpnia na ulice stolicy wyszło ponad dwa tysiące osób, demonstrując w obronie wolności słowa w Republice Białoruś. Wiec zorganizowała Fundacja Wspierania Niezależnej Prasy. Demonstranci, biorąc się za ręce, utworzyli ponadkilometrowy szereg wzdłuż jednej z ulic miasta. Wyróżniała się grupa dziennikarzy, ubranych w symboliczne więzienne pasiaki. Sławamir Adamowicz, autor wiersza „Zabij prezydenta", który przesiedział dziesięć miesięcy w areszcie, na oczach zgromadzonych zaszył sobie usta.

● 3 września Białoruska Fundacja Sorosa ostatecznie zakończyła działalność na terenie Republiki Białoruś. Stało się tak pod naciskiem władz, które zarzuciły Fundacji współudział w opozycyjnej działalności politycznej. W kwietniu nałożono na nią horrendalną karę trzech milionów dolarów za niepłacenie podatków. W ciągu czterech ostatnich lat amerykański miliarder i filantrop George Soros wydał 13 milionów dolarów na programy budowy w Białorusi społeczeństwa otwartego. Sfinansował m.in. podłączenie uniwersytetów i szpitali do Inter-

netu, wspierał też niezależne media. Zamykając Fundację w Białorusi Soros oświadczył, że wspierać kulturę białoruską, naukowców i twórców będzie poprzez programy regionalne i swe oddziały w sąsiednich państwach.

● 6 września odbyły się zjazdy założycielskie „Młodego Frontu" — młodzieżowej przybudówki Białoruskiego Frontu Narodowego i nowej partii socjaldemokratycznej Stanisława Szuszkiewicza. Dwa ugrupowania o tej orientacji już istnieją — jedno współpracuje z Łukaszenką, a drugie, Mikoły Statkiewicza, jest w opozycji.

● Tajemnicza organizacja Białoruskie Wojsko Wyzwoleńcze, która wiosną pod Mińskiem spowodowała wybuch bomby na odcinku gazociągu, znowu dała znać o swym istnieniu. Tym razem przyznała się do zamachu na budynek sądu w jednej z dzielnic stolicy, gdzie przeprowadzano procesy członków opozycji, oskarżanych o nielegalne organizowanie demonstracji antyprezydenckich. Podobnie jak poprzednio, ofiar w ludziach nie było.

● Z końcem września mija termin powtórnej akredytacji przy Ministerstwie Spraw Zagranicznych wszystkich dziennikarzy zagranicznych mediów pracujących w Białorusi. Dotychczas ponowną akredytację otrzymało 27 osób. Według nowego regulaminu może ona zostać cofnięta m.in. za publikację materiałów godzących w reputację białoruskiego prezydenta. Akredytacji nie otrzymają korespondenci rosyjskiej telewizji publicznej ORT oraz obywatele Białorusi pracujący dla zagranicznych mediów.

● Mimo zabiegów dyplomacji rosyjskiej szef mińskiego biura ORT, Paweł Szeremiet, nadal przebywa w areszcie w Grodnie. Zarzuca się mu nielegalne przekroczenie granicy litewsko-białoruskiej.

● Prezydent Aleksander Łukaszenka wydał dekret w sprawie nowych zasad udzielania wiz obcokrajowcom. Od 1 października będzie można je uzyskać tylko w placówkach dyplomatycznych poza granicami Białorusi, a nie jak dotychczas także na przejściach granicznych.

● Na siódmego listopada zaplanowano oddanie do użytku nowego odcinka metro, łączącego dwie największe fabryki w stolicy — Fabrykę Traktorów (Traktarnyj zawod) i Fabrykę Samochodów (Awtozawod). W tym samym terminie mają zakończyć się prace remontowo-rekonstrukcyjne na Stadionie Dynamo i Stadionie Traktor. Inwestycje te prowadzone są pod osobistym nadzorem władz. Aleksander Łukaszenka nadzoruje budowę metra, a kierownik jego administracji, Iwan Ciciańkou, odbudowę stadionów (realizuje się ją za pieniądze sponsorów — dużych firm, co niezależni komentatorzy tłumaczą powiązaniem aparatu władzy z biznesem). Łukaszenka i Ciciańkou kilkakrotnie uczestniczyli w „subotnikach" (czynie społecznym) na rzecz tych inwestycji.



Represje wobec opozycji nie ustają — Fot. H. Głogowska

■ ŚWIAT

Belgia

● Zgodnie z decyzją Komisji Europejskiej od połowy września wszystkie kraje Unii Europejskiej zawiesiły wszelkie kontakty polityczne z władzami Republiki Białoruś. Bezpośrednim powodem wprowadzenia tych sankcji stało się zlekceważenie przez Mińsk zespołu unijnych ekspertów, którzy pomagali rządowi białoruskiemu w „przywracaniu demokracji". Uczestniczyli oni m.in. w roli negocjatorów posiedzeń okrągłego stołu władz i opozycji. Przedstawiciele prezydenta w tych rokowaniach nie chcieli słyszeć o żadnym kompromisie. Unia Europejska zawiesiła także wszelkie programy pomocowe dla Białorusi.

Egipt

● 11 września europejska Unia Międzyparlamentarna przywróciła członkostwo parlamentowi Białorusi. Decyzję w tej sprawie przegłosował dwoma głosami 12-osobowy Komitet Wykonawczy (przedstawiciel Polski był przeciw). Członkostwo Białorusi w tej organizacji zostało zawieszone, gdy Łukaszenka rozpędził legalnie wybrany parlament i powołał nowy, złożony ze swych zwolenników.

Litwa

● 5 września odbyło się spotkanie dwunastu szefów państw wschodniej i środkowej Europy. Wśród jego uczestników znaleźli się prezydenci Polski i Białorusi. Aleksander Kwaśniewski i przywódcy trzech państw bałtyckich w swoich wystąpieniach ostro skrytykowali politykę wewnętrzną Aleksandra Łukaszenki, godzącą w podstawowe zasady demokracji, łamiącą wolności obywatelskie i prawa człowieka. Prezydent Białorusi w odpowiedzi na te zarzuty wyjaśnił zdecydowanie, iż w jego kraju przestrzegane są prawa człowieka, a winę za niedobry i spaczony obraz Białorusi ponoszą niesprzyjające mu zagraniczne media. Tuż przed tym wschodnioeuropejskim szczytem Wilno obiegła sensacyjna wiadomość, podana przez litewską prasę, o planowanym zamachu na Łukaszenkę. Władze litewskie w przededniu spotkania ogłosiły, iż zatrzymano siedem osób, które chciały w czasie szczytu dokonać „prowokacji". Wkrótce zostały one zwolnione, gdyż nie było podstaw do ich oskarżenia.

Rosja

● Przewodniczący komisji do spraw bezpieczeństwa rosyjskiej Dumy, Wiktor Iliuchin, poinformował że białoruska opozycja wraz z moskiewskimi wrogami białoruskiego prezydenta planują zamach na życie Łukaszenki. Podobne rewelacje, wypowiedziane z tych samych ust przed rokiem, nie sprawdziły się. Iliuchin twierdzi, że przeciwnicy Łukaszenki odpowiednie działania rozpoczęli, ale „nie osiągnęły one celu". Tym razem scenariusz ma być taki: rosyjska telewizja ORT zdyskredytuje białoruskiego prezydenta, co wywoła masowe wystąpienia opozycji w Mińsku jesienią br. i zostanie dokonany zamach na Łukaszenkę. W stolicy Białorusi słowa Iliuchina tym razem zostały przyjęte poważnie. Opozycyjny BNF oświadczył jednak, że nie ma z tym nic wspólnego.

Helena Głogowska

Białoruska Praga

Praga — piękne miasto z przebogatą historią, urzekające architekturą, jest bliska również Białorusinom. Tam wszak Franciszek Skaryna wydał w 1517 roku „Psałterz". Dzięki temu nasz sławny przodek znalazł sobie poczesne miejsce w historii Białorusi. Gorzej — ze świadomością historyczną samych Białorusinów. W stolicy Republiki Białoruś jedynie nazwa ulicy przypomina o tym wielkim człowieku. O pomniku ku jego czci nikt nie pomyślał. Za to nad podziw rozwinęła się nauka, nazywana potocznie „skarynoznawstwem". W ostatnich latach wydano „Biblię" Skaryny, encyklopedię „Franciszek Skaryna" i wiele innych pozycji popularyzujących tego czołowego przedstawiciela Odrodzenia na Białorusi.

Piątego września tego roku slawiści z Biblioteki Narodowej Czech i Czeskiej Akademii Nauk uczcili 480-lecie ukazania się „Psałterza" wystawą białoruskich wydawnictw. Książki można było obejrzeć w znajdującej się w centrum Pragi Bibliotece Narodowej. W ubiegłym roku w tym samym miejscu odsłonięto tablicę upamiętniającą obecność w Pradze Skaryny oraz jego pomnik w parku nieopodal Hradczan. Warto wiedzieć, że w stolicy Czech — bynajmniej nie bogatej w pomniki - to swoisty fenomen. Nie ma tam nawet monumentu pierwszego prezydenta Czechosłowacji Masaryka, podczas gdy od monografii o nim aż roi się w tutejszych księgarniach.

Ślady Skaryny w Pradze

dawno zostały zatarte. Nie wiadomo, gdzie mieszkał, gdzie chadzał. Mimo to urósł do symbolu związków białorusko-czeskich. Gorzej z historią najnowszą. A to za sprawą obecnych władz Republiki Białoruś, nie doceniających znaczenia Białoruskiej Republiki Ludowej dla budowy nowoczesnej państwowości białoruskiej.

W sierpniu 1995 roku Biblioteka Słowiańska, działająca przy Bibliotece Narodowej Czech i Instytucie Słowiańskim Czeskiej Akademii Nauk, zorganizowała konferencję naukową, poświęconą emigrantom białoruskim, ukraińskim i rosyjskim w Czechosłowacji w latach 1918-1945. Białoruś reprezentowali tam Hanna Surmacz, Lew Miroczycki i kilka innych osób. W porównaniu z delegacjami innych państw była to symboliczna grupa. Jest to, moim zdaniem, kontynuacja polityki z czasów sowieckich, kiedy nauka białoruska tego okresu niezwykle krytycznie oceniała dorobek Białorusinów przebywających w Pradze. Najlepiej możemy zaobserwować te procesy na przykładzie tragicznego losu Łarysy Hieniusz.

W okresie międzywojennym

w Pradze przebywało około stu osób zaangażowanych w białoruskie życie kulturalne i polityczne. Pierwszym znanym działaczem był Michał Wiarszynin (prawdziwe nazwisko — Wieramiej) z Naliboków koło Nowogródka. W Au-


Wasil Zacharka na ulicach Pragi. 1938 r.


Maria Kreczeuska, Łarysa Hieniusz i jej syn Jurka przy grobie Zacharków

stro-Węgrzech przebywał on już przed I wojną światową. Od 1918 roku Wiarszynin był przedstawicielem dyplomatycznym Białoruskiej Republiki Ludowej w Pradze. Dzięki jego staraniom mogła studiować w Pradze młodzież białoruska z ówczesnej Polski północno-wschodniej. Prawdopodobnie to również on był inicjatorem zwołania do Pragi na 25 września 1921 roku I Białoruskiej Narady Politycznej oraz przyczynił się do udzielenia przez władze azylu politycznego rządowi Białoruskiej Republiki Ludowej. Michał Wiarszynin zmarł 6 maja 1934 r. w Pradze. Jego grób znajduje się na Olszanach. Nikt jednak nie wie dokładnie gdzie, podobnie jak nikt nie dotarł do jego rodziny, prawdopodobnie zamieszkałej w Pradze.

Cmentarz na Olszanach

jest największą prawosławną nekropolią w mieście. Zwiedzającym rzucają się w oczy dwa kamienne pomniki nagrobne Piotra Kreczeuskiego oraz Pelagii i Wasila Zacharków. Na obu jest wyryta „Pogoń" oraz napisy w języku białoruskim. Prezydenci Białoruskiej Republiki Ludowej, Piotr Kreczeuski i Wasil Zacharka, nie doczekali „wyzwolenia" w 1945 roku. Naturalna śmierć (w 1928 i 1943 r.) uratowała ich przez losem Łarysy Hieniusz. Na zawsze pozostali w ziemi czeskiej, która przyjęła ich gościnnie w 1923 roku i pozwoliła prowadzić białoruską działalność niepodległościową. W Pradze powstały wówczas Towarzystwo im. F. Skoryny i Towarzystwo Białoruska Rada. 25 marca 1928 roku Wasil Zacharka pisał do Białoruskiego Komitetu Narodowego w Wilnie: „Braty! U dzień dziesiatych uhodkau abwieszczańnia dziarżaunaj niezależnaści Biełarusi ja usimi dumkami pieranaszusia da Was — u rodnuju staronku". Białoruska emigracja polityczna w Pradze była solą w oku władz Białorusi sowieckiej, które uważały się za jedynego reprezentanta Białorusinów.



Cmentarz na Olszanach w Pradze. Pomnik na grobie Pelagii i Wasila Zacharków

swego „dziadźki", nieustanne poszukiwania tańszego mieszkania do wynajęcia, dodatkowych źródeł zarobkowania, a przy tym — nieustanną działalność w ruchu białoruskim.

W Pradze wychodziło

kilka tytułów białoruskich czasopism: „Iskry Skaryny", „Zamieżnaja Biełaruś", „Biełaruski student", „Pierawiesła", „Pramień", „Biuleteń rady BNR", „Biuleteń zahranicznaj hrupy BPS-R". Do śmierci w 1938 r. w Pradze mieszkał



Cmentarz Miejski w Pradze. W jednej z tych urn spoczywają prochy Tomasza Hryba

Zwołana w 1925 roku narada polityczna w Berlinie miała na celu wymuszenie na działaczach Białoruskiej Republiki Ludowej uznania BSSR za jedyne legalne państwo białoruskie. Część działaczy emigracyjnych uwierzyła w szczerość intencji sowieckich i przystała na propozycję współpracy. Piotr Kreczeuski i Wasil Zacharka twardo stali na gruncie założeń Białoruskiej Republiki Ludowej.

Wśród białoruskich studentów

prowadzono agitację, w wyniku czego powstała organizacja studencka „obywateli BSRR". „Pramień" — czasopismo „postępowego studenctwa" w Pradze — systematycznie dyskredytowało działania polityków Białoruskiej Republiki Ludowej. Podział w środowisku białoruskiej emigracji w Pradze spowodowali studenci przybyli z Zachodniej Białorusi w ramach stypendiów przyznawanych przez rząd czechosłowacki.

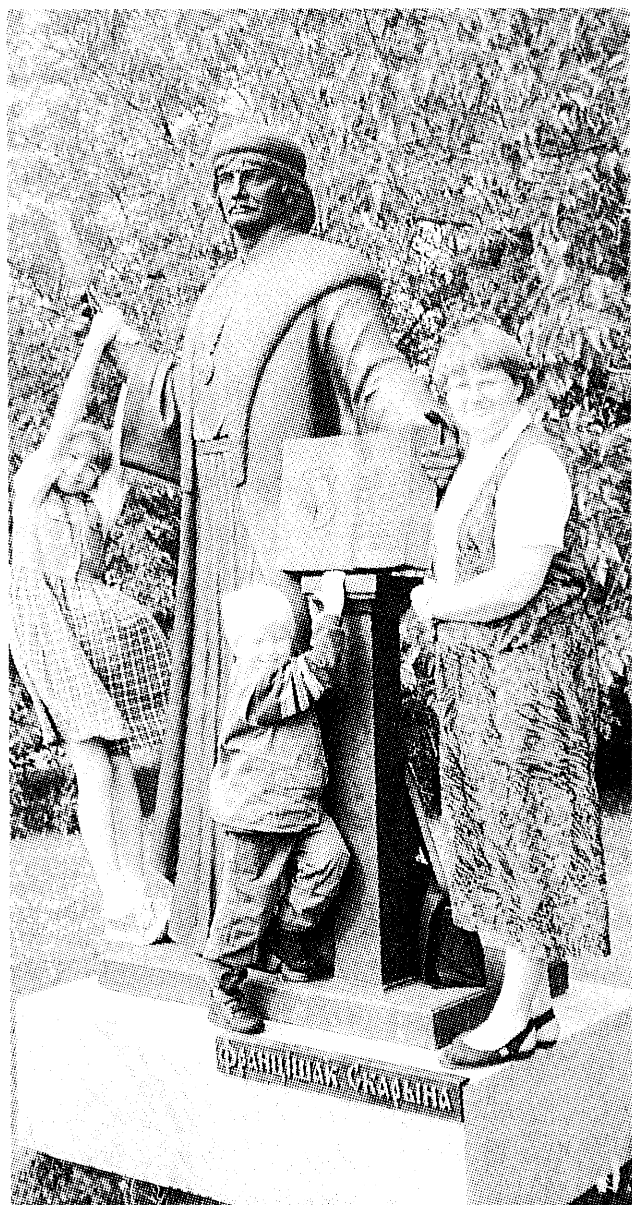
Pani Kira Tenc, obecnie mieszkająca w Gdańsku, którą wychowywała rodzina Zacharków w Pradze w latach 1935-1937, wspomina nader skromne warunki życia

Tomasz Hryb. Jego prochy spoczywają na jednym z praskich cmentarzy. Zachowało się też wiele adresów białoruskich instytucji i osób prywatnych z okresu międzywojennego w stolicy Czech: Venzigora 4 — Towarzystwo „Biełaruski Student", Radotin u Prahu 26 — zagraniczne przedstawicielstwo Białoruskiej Partii Socjalistów-Rewolucjonistów, Dejvice 548 — Białoruskie (Krywickie) Towarzystwo im. F. Skaryny, Modżony 68 — prywatny adres Wasila Zacharki itp. Ale to tylko strzępy informacji na temat białoruskiego życia w tym mieście. Zaginęły praktycznie wszystkie archiwa działaczy politycznych i społecznych, nikt nie zna losu ich rodzin, spadkobierców. Nikt do dziś nie wie, co się stało z Niną Kreczeuską, żoną prezydenta Białoruskiej Republiki Ludowej. Podobnych zagadek jest jeszcze bardzo wiele.

Szczęście uśmiechnęło się jedynie do Hanny Surmacz, przewodniczącej Stowarzyszenia Białorusinów Świata „Baćkauszczyna", której udało się odszukać i przewieźć na Białoruś archiwum Michała Zabejdy-Sunickiego. Obecnie znajduje się ono w Archiwum Literatury i Sztuki w Mińsku.

W archiwach praskich uczelni

przechowywane są teczki osobowe studentów białoruskich. Do niektórych z nich dotarli już Białorusini od kilku lat zamieszkali w Pradze — Jurka Stankiewicz i Ania Sokaława. Jurka Stankiewicz, syn dziennikarza i działacza politycznego Jana Stankiewicza, wraz z żoną, Czeszką, kilka lat temu na stałe osiadł w Pradze. Ania, córka białoruskich emigrantów z USA, jest żoną znanego białoruskiego barda Siarżuka Sokaława-Wojusza. Jej mąż pracuje w białoruskiej sekcji Radio Swaboda, które kilka lat temu przeniosło się z Monachium do Pragi.



Autorka z córką Agatą i Anią Sokałau-Wojusz przy pomniku Franciszka Skaryny w Pradze

Z białoruskich śladów w mieście nad Wełtawą warto wymienić ambasadę Republiki Białoruś oraz Białoruskie Towarzystwo Oświatowe „Skaryna". W zamierzeniach tego ostatniego jest m.in. podjęcie starań u władz czeskich o stypendia dla studentów z Białorusi. To w nawiązaniu do dobrych, przedwojennych tradycji.

Praga dla Białorusinów to nie tylko piękne historyczne miasto. Intryguje ona swoimi związkami z Białorusią. Tym bardziej, że tak mało wiemy o Białorusinach w stolicy Czech i ich trudnych tułaczych losach.

Helena Głogowska

Fot. ze zbiorów Autorki

Dorota Sulżyk

W zgodzie z żywiołami



Wiatrak koło wsi Wygoda w okolicach Hajnówki — **Fot. W. Zawadzki**

— *Oj dobra dziś pogoda. Wiatrak to dziś dobrze by chodził* — mówi pani Nina Szczurak z Wiejek, patrząc na wiatr. Chwila refleksji, dziobnięcie motyczką i dwie duże kartofle wpadają do koszyka. — *A może i wiatr trochę za silny, trzeba by było pasy zakładać. Z tym wiatrem to zawsze był kłopot, bo nigdy nie był równy. Ponoć to dlatego, że koło lasu. Nie* — śmieje się pani Nina — *mąż wiatru nie zamawiał. A bo to są mocni na wiatr? Bajki. Zęby może i zamawiają, ale co z takich zębów. (— Klienci jechali jak wiało.* - powie pani Janielowa, właścicielka wiatraka w Maciejkowej Górze).

Stoi samotny na pagórku pod lasem. Trzeszczy. To jedyne skrzydło śmigła, które wisi na przysłowiowym włosku na okuciach żelaznych, chciałoby poszaleć na wietrze, ale tylko jęczy. Ostatnie szaleństwo — może czterdzieści lat temu. Może tyle mają dorodne już sosny, które wyrosły tuż przed młyńską twarzą. Młodszy jest krzak czarnego bzu, który sprawia wrażenie, jakby wyrastał z młyna. Nie trzeba otwierać młyńskich drzwi, żeby zajrzeć do środka wiatraka w Wiejkach. Dziura po wykruszonej desce pozwala penetrować wnętrze.

Konszachty z demonami

Na początku było ziarno, które człowiek rozdrabniał zębami. Potem wziął do rąk dwa kamienie o różnych wymiarach, włożył pomiędzy nie ziarno i rozgniótł. A potem kazał żywiołom pracować na siebie. I od razu posądzono człowieka (młynarza), którego żywił wiatrak, o konszachty z demonami powietrznymi, tego, który zmusił wodę, żeby służyła, o zbratanie się z siłą nieczystą zamieszkującą wodę. I posypały się opowieści o młynach zaczarowanych i zaklętych.

O młynie w Komosie (niedaleko Supraśla) opowiadają, że cieszył się taką sławą, że przyjeżdżano doń z Białegostoku, Czarnej Wsi, Zabłudowa. Stary Rybowicz zbudował go synowi. Praca wrzała, a młody młynarz zaczął sprowadzać nowoczesne maszyny z zagranicy. Ale pewnej jesiennej burzliwej nocy nagle zgasło w młynie światło. Chłopi zaciekawieni tym, że pomimo to maszyny pracują, zaczęli penetrować młyńskie zakamarki. I znaleźli młodego młynarza — wisielca – samobójcę. Młynem zajął się ojciec. Pewnej nocy, zimą, nie wiedzieć czemu, młyn się zatrzymał. Przestraszony młynarz wyszeptał tylko licznej klienteli, że to pewnie syn zatrzymał młyn. Po krótkiej niebytności ojca, który poszedł przekonywać zmarłego syna, maszyny ruszyły. I tak przez wiele lat. Młyn się zatrzymywał, a wtedy stary młynarz per-

traktował z synem. Wreszcie stary Rybowicz nie wytrzymał i sprzedał młym. Nowi młynarze opowidali, że ktoś po młynie chodził i zatrzymywał maszyny. Dlatego właściciele młyna w Komosie zmieniali się często. W końcu młyn na palach, nad strumieniem, zamknięto.*

W Kożynie letnim wieczorem kilka osób widziało uciekającego znad rzeki wędkarza z Bielska. W pośpiechu opowiadał o białej zjawie ze świeczką, którą zobaczył w oknie wodnego młyna. Przez jakiś czas bano się paść krowy w jego pobliżu. Aż w końcu ujawnił się pewien żartowniś, który wyznał, że niedawno wcielał się w ducha młyna. Bardzo często sceneria młyńska podpowiadała i podpowiada dziwne historie. Odludzie, puste wzgórze, szuwary...

Wiatr w skrzydłach

— *W tym młynie nie straszy* — zapewnia właścicielka wiatraka w Wiejkach. — *Choć w zeszłym roku, latem, przybiegła raz sąsiadka i mówi, że w moim młynie ktoś mieszka. Poszłam następnego dnia, został już tylko ślad po małym ognisku w środku młyna, takim rozpalonym z papierków. To pewnie grzybiarze. Tylu ich po lasach i stogach spało. Ten młyn trochę inny niż wszystkie, nie tylko skrzydła się ruszają, on cały obraca się na kole betonowym z szyną. Na nim gruba bela drewniana przywiązana drutami, drążek brzozowy do belki przymocowany, młynarz tak chodził i to się okręcało.*

(To opis wiatraka rolkowego — paltraka, jednego z kilkunastu wybudowanych na Białostocczyźnie). Zpróchniało już wszystko. Przez szpary widać drewniane urządzenia. — *Znajdźcie kupca na wiatraka. Tu jeszcze takie solidne kamienie lane są, może się komu nadadzą. Dach cieknie, ja nie remontuję tego* — prosi młynarzowa. Śmieje się, gdy ją się tak nazywa. Mąż nie uważał się za młynarza, lecz za rolnika. Gospodarka była najważniejsza. A w młynie, jak mówi pani Nina, trzeba było się naskakać. Czasem bywało, że stało kilka fur. Ale mąż nie zawsze miał czas zemleć ziarno na chleb sąsiadom z tej samej wsi. Niedługo pan Szczurak wcielał się w rolę młynarza — może dziesięć, może piętnaście lat. W pobliskich Zubrach, w PGR-ze, pojawiły się śrutowniki i nie opłacało się już uruchamianie wiatraka, czekanie na przyjazne wiatry.

— *To zabytkowy młyn, nie pamiętam już żeby mielił* — tak ocenił wiatrak ponad trzydziestoletni mieszkaniec Wiejek. Na kamieniu pan Stefan Szczurak wyrył datę 1946. (Zabytkowy, bo nie używany). Pani Nina dobrze pamięta ten czas. Jako młoda dziewczyna często widziała, jak stary Szczurak siedział na pagórku. Pamięta nawet kolor jego ubrania. Niebieski. Mówiono, że jeździł po terenie, robił rozeznanie. Potem budował. Nie wiedziała, że zostanie synową młynarza. To był mądry człowiek, rozsądny, dobrze czytał po rosyjsku (potwierdza to, że młynarze, podobnie jak księża czy nauczyciele, byli we wsi autorytetami). Pamięta, jak obserwował wiatr. Jeśli był równy i spokojny, wychodził z chaty ze słowami „pójdę namielę". Wolno, nie śpiesząc się, wspinał się na pagórek. Dumny wchodził do własnego wiatraka. Nie musiał już jechać kilkanaście kilometrów do gródeckiego młyna, stać nocami w kolejce, wysłuchiwać kłótni zniecierpliwionych gospodarzy, wracać z niczym. Potem znów jechać. I to było najważniejsze. Wiatrak budował dla siebie, nie na zarobek. Teraz musiał tylko żyć w zgodzie z wiatrami.

Niedługo cieszył się swoim młynem, wkrótce zachorował i zmarł. Syn — mąż pani Niny — młynarzował dziesięć, może piętnaście lat. Pani Nina dokładnie już nie pamięta. Niecałe dwadzieścia lat — ot i cały wiatrakowy żywot. — *Jak przypomnę jego siedzącego na górce... Szkoda takiego trudnego wysiłku. W krótkim czasie tak się wszystko zmieniło* — ze smutkiem w głosie mówi właścicielka wiatraka.

W latach 60. na Białostocczyźnie doliczono się 61 wodnych młynów, w 1979 roku — 116 wiatraków. Przybywało ich zwłaszcza w dwudziestoleciu międzywojennym, ale budowano je także w latach 60. Budowie wiatraków sprzyjały warunki terenowe i klimatyczne (można było wykorzystać 250-270 dni wietrznych w roku), model rozdrobnionych i ubogich gospodarstw rolnych, znaczne odległości od młynów przemysłowych, rozwinięte tradycje budownictwa drewnianego i spóźniona elektryfikacja. Najczęściej spotykane u nas wiatraki to „koźlaki" (69 na 116 wszystkich wiatraków istniejących w latach 70.), następnie „holenderskie" (31) i rolkowe — „paltraki" (16). W byłym powiecie sokólskim (Malawicze, Zaspicze, Minkowce, Nowinka) zobaczyć możemy kilka unikatowych w skali kraju obiektów młynarskich, które trudno zaliczyć do jakichkolwiek znanych typów wiatraków w Polsce. Nazwano je więc „sokólskimi". Ich charakterystyczną i unikalną cechą jest kamienny fundament w kształcie ściętego stożka stanowiący podstawę wiatraka. Wiatraki w większości były eksploatowane na własne potrzeby właścicieli.

Włączasz olejaka i...

Gródeckiemu młynowi wiatr niepotrzebny. — *Tu się włącza olejaka i robota jedzie. Trzeba tylko maszyn pilnować* — jak powie nowoczesny młynarz. W biały dzień w młynie tylko jedna dusza — pan Wiesław Krysiuk, dzierżawca i kierownik młyna, młynarz i sprzedawca produktów młyńskich w jednej osobie. Nieco znudzony macha ręką: — *Człowiek tu teraz wegetuje, a to sianie, sianokosy, żniwa, kopanie. Klientów nie ma. Jeszcze z miesiąc przejdzie, jak się zwalą. Dzisiaj było tylko czterech. Jeden przyniósł 62 kilo zboża, to zarobiło się cztery trzydzieści, drugi 106 kilo — to osiemnaście złotych. Wczoraj jeden gość aż 250 kilogramów przywiózł.* Przyjeżdżają z Narwi, z całej prawie michałowskiej gminy, do niedawna z Krynek. Wedle słów pana Wiesława ostatnio otworzyła tam młyn „kobieta ruska — młynarz", która ma bogatego męża w Ameryce.

Gródecki młyn huczy tylko raz w tygodniu. Raz w tygodniu kierownik-młynarz ożywia świeżopowojenne maszyny i ten niemiecki przedwojenny mlewnik z pięcioma parami walców też. Na co dzień oferuje klientom gotową mąkę żytnią, pszenną, otręby, śrutę. Chociaż czasem zdarzają się wyjątki i tacy jak pewien „facet" w ubiegłym tygodniu, który chciał zemleć zboże na kaszę jęczmienną dla pieska. Kaszy jęczmiennej nie miał, trzeba było puścić w ruch odpowiednie mlewniki. Tym, którzy przynoszą na wymianę zboże, zagląda do worków, sprawdza, czy nie zaplątały się nieczystości, bo zdarza się, że klienci oszukują. Można tu przyjść też na zakupy bez własnego ziarna. Świeża mąka po atrakcyjnej cenie — złoty trzydzieści za kilogram. Można powiedzieć, że przy takiej pracy młyn ciągle świętuje. Bo co to jest w porównaniu ze świetnymi czasami GS-u.

Dziesięciu młynarzy pracowało na dwie zmiany, miesięcznie mieliło się po 150-200 ton. Pan Wiesław, który dzierżawi młyn od półtora roku, pamięta te czasy, był wtedy etatowym młynarzem.

Młyn ruszył w 1959 roku (poprzedni budynek młyński stał w innym miejscu). Od tego czasu nic tu nie odnawiano, nie naprawiano. — *Przydałby się pewnie remont* — pytam, a w odpowiedzi oczekuję narzekania na brak funduszy. — *Żyd ma kupić młyn, to pewnie będzie i remont. Ten sam, który piekarnię w Gródku kupił i odpicował. U wójta już ponoć podanie leży. Na pewno będzie mielił na swoje potrzeby. Ma już trzy czy cztery piekarnie. Skąd on tyle pieniędzy ma? Chyba organizacja żydowska na to daje. Ale co będzie z rolnikami? Nie powinien rolnika odrzucać. Chociaż cholera go wie, co on wymyśli?* Pan Wiesław trochę obawia się tego Żyda, bo nie wiadomo, czy go zatrudni, ile będzie płacił, czy to w ogóle będzie się opłacało.

Czas mija. Świat się zmienia. — *Jak GS był, to w młynie od pioruna było gołębi, a gdzie się one teraz podziały?* — kierownik-młynarz nie zna odpowiedzi na swoje retoryczne pytanie.

Taki teraz żywot społecznego młynamolocha.

Woda na młyn

Czarno-biała fotografia młyna wodnego w Talkowszczyźnie (pod Sokółką) — jedna z kilkudziesięciu w książce B. Baranowskiego pt. „Polskie młynarstwo" (1977 r.). Nieduży drewniany budynek kryty gontem, z pustym miejscem po drzwiach, nad rzeką Słoją. Pochylony płot z zaostrzonych palików. Z prawej strony jedno okno zasłonięte okiennicami. Babcia Nina z Gródka (mieszkająca kiedyś przez wiele lat w okolicach Talkowszczyzny) pokazuje na to okno: — *Tu mieszkali. W młynie mieli mieszkanie, kuchnię i pokój. Dzieci — dwóch synów i córka, matka, ojciec — młynarz Norbert Laskowski. Mieli też gospodarkę. Raczej nieźle żyli.* Babcia pamięta, jak podczas wojny przychodził do Laskowskich „sołdat" i droczył się z Heniem (który był trochę zdziwaczały). — *Heniu, wsie doma? — Dzie wsie, tatka nima* — odpowiadał młynarzowy syn. „Tatka" zabrali radzieccy żołnierze. Teraz on był młynarzem. Dziadek (mąż babci Niny) przypomina, jak za okupacji Henio wycinał kartki w młynie, bo można było zemleć na mąkę tylko osiem kilogramów zboża na jedną osobę. Przydały się wtedy w domu dawniejsze żarna (którymi na początku XX wieku na Białostocczyźnie przerabiano około pięciu procent ziarna — najwięcej w porównaniu z innymi rejonami Polski), których starym chłopskim zwyczajem nikt nie wyrzucał. Żarna za okupacji były nielegalne, rodzina dziadka ukrywała je w stodole.

Stary Laskowski wrócił jakoś tak dopiero kilka lat po wojnie. Nie wiadomo skąd. Wkrótce zmarł. Młyna nie doglądano. Stary już był. Marniał. Zniknął.

Chociaż do Krynek było tyle samo kilometrów co do Międzyrzecza, mieszkańcy okolic Talkowszczyzny w poważniejszych młynarskich interesach wybierali się do młyna Kazimierza Szuchnickiego na rzece Sokołdzie. To u niego pytlowano mąkę, przerabiano pszenicę. Młyn był porządny, miał siedem okien od strony rzeki. Wybudował go na początku XX wieku ojciec, Jan Szuchnicki. Nie stać go było na drogie maszyny, sam więc wykonał turbinę z wałem i koła zawieszone na grzybku z drewna oliwnego. Z kamienia polnego zrobił kamienie na śrutę, razówkę, perlak. Pod koniec lat 20. musiał Kazimierz na nowo wyposażyć ograbiony z urządzeń młyńskich młyn. Zaciągnięty jeszcze przed wojną w Warszawie kredyt spłacał aż do lat 50.**

Młyn był porządny. Na podwórzu była szopa na konie. Kolejki bywały takie, że zdarzało się przenocować tu i dwie noce. Bogaty był Szuchnicki. Znane przysłowie pasowało do niego jak ulał: *Mielnikawa karowa, dzieuka papowa i akanomawa kabyła nikoli hałodna nie była.* Szuchnicki był młynarzem z prawdziwego zdarzenia. Przed wojną w domu zawsze były pod ręką młynarskie kalendarze.

Szuchnickiego wywieziono w głąb ZSRR, tak jak Laskowskiego i wielu innych młynarzy z Białostocczyzny. Po powrocie remontował młyn. Ale okazało się, że to jeszcze nie koniec burzliwych losów młyna i młynarza. W 1952 roku młyn przejęła Rada Narodowa w Sokółce, a Kazimierz Szuchnicki został bez pracy. Wrócił do niej w 1963 roku, na dziesięć lat przed emeryturą. Potem przyszła kolej na następnego Szuchnickiego — syna Stanisława. Jego młynarska kariera trwała niecałe dziesięć lat. Na początku lat 80. Białostocczyzna wzbogaciła się o jeszcze jeden niepotrzebny młyn.

— *Słyszałem, że zmarło się już Kazimierzowi Szuchnickiemu* — mówi dziadek. Ród młynarski Szuchnickich nie wygasł, ale zawód młynarza...

Nieopodal wsi Międzyrzecze na rzece Sokołda dostrzec można opuszczony drewniany budynek.

Niepotrzebne

W Narejkach (gmina Gródek) obejrzeć można wiatrak holenderski z lat 20. XX wieku. Tak mówią przewodniki. Sołtys tej wsi twierdzi, że młyn wybudowano po wojnie, ale i tak nie pozostał po nim żaden ślad. — *Właściciel, Filip Szutkiewicz, wiatrak za komuny rozebrał, bo państwo kazało mu płacić wysokie podatki. A sam wyjechał na Zachód. Teraz wozimy zboże do gródeckiego młyna, a do osypki dla świń na miejscu silniczek mamy* — tyle na temat wiatraka miał do powiedzenia sołtys. Podobnie wyglądało moje spotkanie z wiatrakiem w Kolonii Szymki, który zaznaczony jest na nie tak dawno wydanej mapie okolic zalewu Siemianówka. Młyn był, ale zburzyła go żona nieżyjącego już młynarza.

Czasem ktoś przyjeżdża, robi sobie pamiątkowe zdjęcie z wiatrakiem. Tak mówią właściciele wiatrowych młynów. Jeszcze do niedawna były charakterystycznym elementem wiejskiego krajobrazu Białostocczyzny. A dziś tylko czasem dzieci (a może i dorośli też), widząc przez szybę mknącego samochodu wysoką drewnianą wieżę ze skrzydłami, reagują nań okrzykiem „— O, wiatrak!" (pod warunkiem, że znają to słowo).

„Świątynia bez kapłanów jest jak skóra wężowa bez węża" — pisał Zbigniew Herbert w jednym z esejów „Barbarzyńcy w ogrodzie". Tym samym jest młyn bez młynarza... Nie jest żywym organizmem, a jedynie powłoką cielesną oplecioną pajęczyną. Młyny nie dotykane, niepotrzebne, samotne. Pożerane przez wiatr, deszcz, burze, przez czas... gniją, próchnieją, znikają.

Niepotrzebne, bo po wojnie okazało się, że podatki od usług są zbyt wysokie, a tych, którzy nie uiszczają świadczeń wobec władz, karze się surowo, że nie trzeba prosić wiatru i wody o pomoc, bo wsie rozjaśniły się światłem elektrycznym, bo PGR-y i sami gospodarze kupili śrutowniki, bo piekarnia upiecze chleb, bułki. I nagle wszystko stało się takie proste. Nie trzeba już było dźwigać na górę wiatraka ciężkich worków ze zbożem.

Samotne i nie dotykane, bo właściciele-młynarze się zestarzeli i bezsilnie patrzą na umierające młyny. Wielu z nich już nie żyje. Kobiety — żony chyba nigdy nie były do młynów zbyt przywiązane. Dzieci — nie znają uczucia oczeki-

wania na przyjazne wiatry. Nie obchodzi już dziś nowożeńców przesąd, o którym wspomina XIX-wieczny folkorysta Michał Federowski, że *jak maładyja jeduć da wiańca kala młyna, to treba pierad mostam zatrymacca i swatu paprasić mielnika, kab spyniu młyn, bo maładych ceło życcio kruciłosiab jak o młynawym kolesi, nie pa-ludzku.*

***

Wiatrak w Maciejkowej Górze. Na łące ogrodzonej elektrycznym pastuchem nad Narwią. Wystrzępiony. Ze zwisającym kawałkiem jednego skrzydła. Staruszek. Jego obecna właścicielka — starsza już pani Janielowa nie wie, ile może mieć lat, ale coś ponad sto. Budował go jeszcze pradziadek męża. Patrzę na młyn. Widać dokładnie podstawę z solidnych ogromnych kamieni. Chyba ktoś ją poprawiał. Zaprawa między kamieniami wygląda na młodszą niż stuletnia. Te kamienie przeżyją jeszcze dziesiątki, setki lat. Może nie na tym miejscu, może ozdobią czyjś ogród, podwórze.

Pani Janielowa opowiada, jak w tamtym roku przyjechała nad rzekę młodzież (bo Maciejkowa Góra to atrakcyjne turystycznie miejsce). — *W nocy palili ognisko i wynosili drewno z tego młyna. Nie ma już schodów, drewnianych kół... Żarna jeszcze tylko zostały. Moje wnuczki jak przyjeżdżają, to od razu biegną bawić się do młyna. One zawsze jakoś wlazą na górę. Ostatnio poprzynosiły do zabawy drewniane zęby z dużego koła. Nawet nie wiem, gdzie one to tam znalazły. A kiedyś* — wspomina z nostalgią młynarzowa — *jak był młyn, mąka była swoja, a mąka oj dobra z tego młyna była.* Przypomina sobie, że był tu niedaleko (na Górze Macieja) drugi wiatrak. Ale pięćdziesiąt lat temu właściciel sprzedał go komuś i zabrali go. — *A nasz jak stał, tak stoi* — dodaje. Ponad stuletni wystrzępiony młyn coraz bardziej boi się porywistych wiatrów. Wiatrakowi bez skrzydeł i młynarza wiatr zresztą nie jest już do niczego potrzebny.

Dorota Sulżyk

P.S. Są sposoby na przedłużenie żywota budynków młyńskich, którym niepotrzebne już żywioły. W wiatraku w Siemiatyczach zorganizowano izbę harcerską. Miała tu być najpierw stylowa restauracja, ale ostatecznie przekazano go szkole podstawowej. Hotelik urządził w Bielsku w kupionym i przewiezionym wiatraku A. Wygonowski (nie wiem, czy jeszcze funcjonuje). Można snuć tyle pomysłów na opuszczone młyny. Młyn jako muzeum etnograficzne, jako miejsce noclegowe dla turystów, do pracy zespołów artystycznych...

* „Przegląd twórczości bezimiennej", Michałowo 1996.

** Apiecionek A., Janiszewski I., Młyny wodne województwa białostockiego, praca magisterska napisana w Zakładzie Wychowania Technicznego FUW w Białymstoku w 1982 roku.

Michał Mincewicz

Gdzie ci mężczyźni?

Kopacze studni

Istnieje powiedzenie, że prawdziwy mężczyzna to taki, który spłodzi syna, wybuduje dom, posadzi drzewo i wykopie studnię. Okazuje się, że ta ostatnia umiejętność dziś jest już zbędna — wystarczy odkręcić kran. W miastach studni nie uświadczysz, pozostały jeszcze na wsi, ale i tam przypomina się o nich tylko zimą, kiedy zamarznie wodociąg (tak przynajmniej dzieje się w okolicach mojej rodzinnej Orli). Zajęcie „prawdziwych mężczyzn", za jakie przez dziesięciolecia uchodziło kopanie studni, powoli odchodzi w niepamięć.

W czasach, gdy nie znano cementu, do budowy studni wykorzystywano kamienie polne oraz ciosane głazy. Później stosowano, odporne na działanie wody, drewno dębowe, które wiązano w kwadratowe ramy i wpuszczano w głąb ziemi. Takich studni prawie już nie ma. Kamienna zachowała się we wsi Ciełuszki, a z dębowej, mającej około 150 lat, do dziś korzysta Michał Babulewicz ze Śpiczek. W lesie koło Krywiatycz zachowała się drewniana studnia służąca do pojenia wypasanego w pobliżu bydła. Zwiedzający skansen w Białowieży mogą zaś zapoznać się ze zrekonstruowanym „żurawiem".



Atrapa drewnianej studni w skansenie w Białowieży (stan z początku lat 90., obecnie bardziej zniszczona)

Mieć swoją wodę

Za sanacji tylko nieliczni mogli sobie pozwolić na własną studnię. We wsi najczęściej była jedna albo dwie studnie publiczne. Później na granicy sąsiadujących posesji kopano wspólną. W czasie wojny wiele z nich uległo zniszczeniu i dostęp do wody na powrót stał się dużym problemem. Do tego stopnia, że nieżyczliwi gospodarze w obawie przed wyczerpaniem źródła (ale najczęściej z powodu zwykłego skąpstwa) uwiązywali nawet psa, aby ten pilnował studni przed obcymi. Przeważnie jednak nasi ludzie byli gościnni i każdy mógł ugasić pragnienie.

Najwięcej studni wybudowano przed wojną i we wczesnych latach PRL-u.

Przed przystąpieniem do kopania należało wybrać właściwe miejsce. Zwykle proszono o to okolicznego różdżkarza, który potrafił wykrywać żyły wodne. Czasami umiał to robić sam kopacz. Taki człowiek brał w dłonie gałązkę rozwidlonego bzu i boso przemierzał obejście, dopóki nie trafił na odpowiednie miejsce, w którym różdżka wyraźnie drgnęła i skierowała się do dołu. Korzystano też z rad znachorów. Jeszcze dziś do „babki" w Orli czasem przyjeżdża ktoś z rozrysowanym planem gospodarstwa i prosi o wskazanie lokalizacji studni, gdzie jest „najlepsza woda".

— *Mój ojciec, Aleksy Kuryga, kopał*

studnie przez całą sanację — wspomina syn Konstanty, dziś 77-letni mieszkaniec wsi Krzywa w gminie Bielsk Podlaski. — *Najwięcej u Żydów, z których każdy chciał mieć własne źródło wody pitnej. Ruch na studnie zrobił się po pierwszej wojnie światowej. Pod koniec lat dwudziestych ojciec własnoręcznie wykonał drewnianą (jodłową) formę na kręgi. Stalowe okucia porobił do niej orlański kowal, Żyd Elko. Pierwszą studnię, z własnych kręgów, ojciec wykopał dla siebie, na swej posesji. Było to w 1930 roku. Do dziś jest ona w znakomitym stanie i cały czas przez te sześćdziesiąt siedem lat dobrze nam służy. Dość długo w naszej okolicy kręgi robił tylko mój ojciec. Później zaczął również kopać studnie. W Rakowiczach był jeszcze kopacz imieniem Wasil, ale on kręgów nie robił. Był tak silnym człowiekiem, że jak się zaparł plecami, to sam toczył taki krąg — „banię", jak tu się mówi — i ustawiał na swoje miejsce. Po wojnie i ja zacząłem kopać studnie.*

Zajęcie niebezpieczne

Studnie kopało się od wiosny do zimy. Kopacz chodził pieszo. Jak wyruszył z domu, to powracał dopiero po wykopaniu studni. Pracował z pomocnikiem, który musiał być osobą sprytną, a nie „rozdziawą". To zajęcie było bowiem niebezpieczne, wymagało ciągłej koncentracji.

Kopiąc dół pod krąg należało wybierać ziemię do szerokości trzech do pięciu palców na zewnątrz „bani". Taki luz zapewniał, że wpuszczane kręgi nie zapierały się o grunt. Kopano przy pomocy szpadla o krótkim trzonku. Kształt takiej „sztychówki" każdy kopacz dobierał indywidualnie, dopasowując ją do swej nogi. Grunt wybierano najpierw spod ścian cembrowiny — równomiernie, w małych ilościach, krzyżowo (po średnicy dołu). Później kopano w środku.



Drewniana forma na „banie", którą siedemdziesiąt lat temu wykonał Aleksy Kuryga, służy do dziś (obok „tołkacz" i klin do mocowania wewnętrznej części)

— *Już jako dziecko mogłem przyglądać się pracy ojca* — wspomina pan Konstanty. — *On miał taki sposób, że pod „banię" ukosem, lekko do środka, podstawiał trzy-cztery „kowenki" (drewniane kołeczki). Podczas kopania wysuwały się one do środka, co pomagało w równomiernym osiadaniu kręgów.*

Wykopany grunt ładowano do wzmocnionego nowego wiadra, które silny, zaufany pomocnik wyciągał kołowrotem na powierzchnię. W tym czasie kopacz przerywał pracę i dla swego bezpieczeństwa stał oparty o cembrowinę. O kasku ochronnym w tamtych czasach nikt nawet nie słyszał. Zerwanie się wiadra z piaskiem groziło śmiercią lub ciężkim kalectwem. Niektórzy kopacze dla swego bezpieczeństwa niekiedy zabierali do środka krótką drabinę, pod którą można było stanąć w czasie wyciągania załadowanego wiadra. W razie nagłego pojawienia się większej wody, można było szybko od niej uciec.



Konstanty Kuryga przy studni wykopanej przez swego ojca, Aleksego

Spoiny pomiędzy poszczególnymi „baniami" od razu wypełniano zaprawą cementową. Bardzo wielkie znaczenie kopacz przywiązywał do utrzymania pionu studni. Dopiero po wprowadzeniu piątego kręgu pion sam się regulował. Zdarzało się, że „banie" blokowały się, zapierając się w ziemi, albo część z nich szła do dołu, a pozostałe zawisały. Wówczas na górną cembrowinę kładziono grube deski, a na nie piasek i ciężkie kamienie. Pan Konstanty pamięta wiele takich przypadków. — *Najgorzej, gdy w czasie kopania trafiła się glina z kamieniami, taki „margiel", nazywany „zgniłym kamieniem". Wówczas należało użyć ostrej łopaty, tzw. „kirki", a nawet łomu. Bywało tak, że po przebiciu gruntu od razu buchała duża woda i trzeba było szybko uciekać w górę. Zdarzały się tak silne strumienie, że kopacz, zanim wszedł na drabinę na dnie zostawiał buty.*

Szczególnie niebezpieczne podczas kopania studni było pojawienie się mułu Oznaczało to, że woda jest już blisko. Wtedy „banie" szybko schodziły do dołu, tak że kopacz nie nadążał wybierać mułu, co groziło rozejściem się kręgów i zawaleniem studni. Gdy woda przybierała bardzo szybko, kopanie przerywano. Po ustabilizowaniu się jej poziomu, wybierano piasek z dna i zasypywano go filtrem w postaci grubego żwiru.

Najczęściej pierwsza napotkana woda w kopanej studni pochodziła z wód powierzchniowych. Woda zdatna do picia i dobra w smaku położona jest głębiej — do dziesięciu, a nawet i kilkunastu metrów pod powierzchnią, w zależności od ukształtowania terenu i obranego miejsca. Chociaż rzadko, ale zdarzały się także chybione lokalizacje, tzw. suche studnie, w których nie można było dokopać się do wody, bo dół mijał się z żyłą wodną. Pan Konstanty twierdzi, że było to największą porażką kopacza. — *Jak wody długo nie było, kopacz zaczynał się modlić, kopał i prosił Boga, żeby pokazała się woda, a nareszcie zaczynał kląć...*

Czasem wykopana studnia była już bardzo głęboka, ale wody nie przybywało. Wtedy używano świdra, który był



Stefan Kukołka, dziś 87-letni mieszkaniec wsi Szernie, na swojej posesji sam wykopał dwie studnie

zamocowany na długim, mocnym, jodłowym drągu. Kręcić pomagali ludzie na górze. W wywiercony otwór czasem wbijano rurę, nawet na głębokość kilku metrów. Najzdatniejsza woda pitna trafiała się na podłożu żwirowym, bo drobne kamienie stanowią najlepszy naturalny filtr.

U Żydów wszystkie studnie zaopatrzone były w kołowroty, zaś inni gospodarze ustawiali najczęściej żurawie. Żyd zawsze wymagał, aby dno wykopanej studni było wyłożone dębowym drewnem.

Nie ma studni bez kręgu

— Po wojnie, gdy ojciec miał już pięćdziesiątkę — snuje swe wspomnienia pan Konstanty — *kopanie studni stało się dla niego zbyt ciężkim zajęciem. A że był dobrym murarzem, więc pojechał odbudowywać Warszawę. Pracował tam cztery lata, a potem w Gdańsku. Wyrobem betonowych kręgów zająłem się sam.*

U pana Konstantego do dziś zachowała się drewniana forma na „banie". Służyła 30 lat, a i teraz, gdy obić blachą, można jej jeszcze używać. — *Początkowo na jedną „banię" ludzie dawali jeden worek cementu, a potem już zawsze po dwa. Wtedy trudno było o stal, dlatego nie dawało się żadnego zbrojenia. Przygotowaną masę betonową, złożoną z cementu, nieprzesianego żwiru i wody, wkładano do formy niewielkimi porcjami dookoła i ubijano „tołkaczem". Czynność powtarzano do wypełnienia formy. Zdejmowano ją po wyjęciu klina w części wewnętrznej, na koniec rozkładano obudowy zewnętrzne.*

W latach powojennych popularne stawały się „krypy" — betonowe kręgi o połowę niższe od studziennych, z wypełnionym dnem. Służyły one do pojenia bydła i koni.

Chociaż woda płynie dziś z kranów, kręgi nadal się produkuje. Głównie z przeznaczeniem na szamba lub płytkie studnie w polu, na łąkach i pastwiskach.

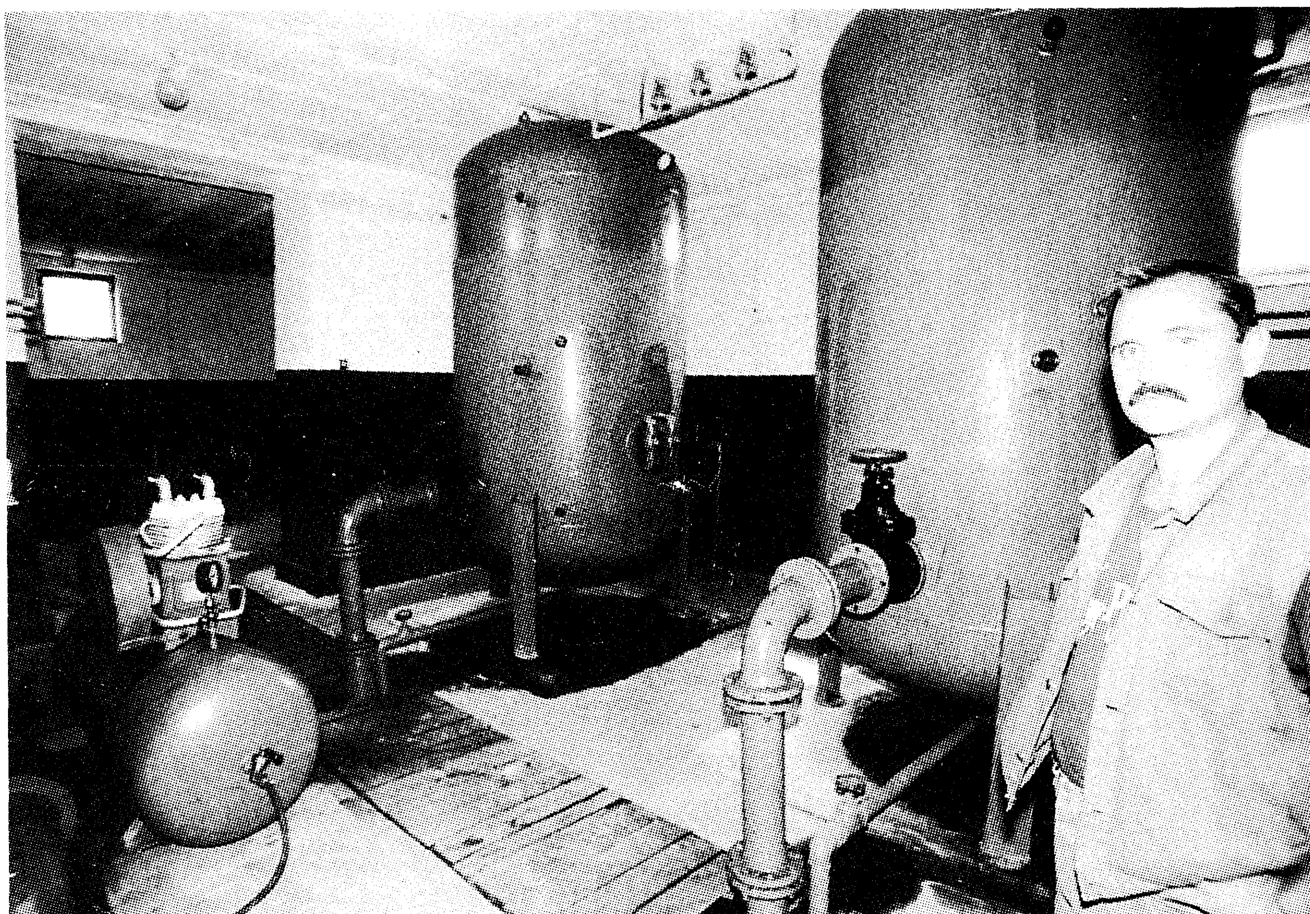
Udało mi się ustalić nazwiska najpopularniejszych kopaczy studni z okresu powojennego na ziemi bielskiej. Oprócz Aleksego Kurygi i jego syna Konstantego, byli to: Doroteusz Lemiesz z Mikłasz, Józef Osiennik z Parcewa, Paweł Kuderski i Mikołaj Martynowicz z Orli oraz Mikołaj Łopaciuk z Bielska.

Oto jak wspomina to zajęcie Mikołaj Martynowicz, dziś 58-letni mężczyzna: — *W latach siedemdziesiątych pracowałem na przeładunkach w Siemianówce, a w dni wolne z Mikołajem Łopaciukiem kopaliśmy studnie. On był starym fachowcem, mistrzem w kopaniu, a ja — jego zaufanym pomocnikiem. Razem wykopaliśmy około dwudziestu studni w takich miejscowościach, jak Bielsk Podlaski, Brańsk, Starowieś i okolice. Jak trafił się dogodny grunt, to studnia o dziesięciu kręgach była gotowa w dwa dni, z tym że kopaliśmy od wczesnego ranka do późnego wieczora. Na terenach gmin Orla, Brańsk i Bielsk woda pitna pojawiała się płytko — zwykle na ósmym, dziewiątym kręgu. W okolicy Kleszczel, np. we wsi Suchowolce oraz koło Nurca Stacji i Gródka pod Siemiatyczami można natrafić na studnie o głębokości nawet trzydziestu i więcej kręgów. Tak głęboką studnię mógł wykopać tylko fachowiec nad fachowcami, który umiał bezbłędnie ustawić pion, był uparty i odważny, liczył się ze szczególnym niebezpieczeństwem.*

Czas wodociągów

W połowie lat siedemdziesiątych w Orli wybudowano wodociąg. Woda czerpana jest z dwóch usytuowanych obok siebie studni głębinowych, o głębokości 120 i 80 metrów. 12 metrów pod powierzchnią gruntu stoją pompy o wydajności 80 i 40 m3/h, które podają wodę do budynku hydroforni. Jest ona uzdatniana za pomocą filtrów-odżelaziaczy, które wytrącają nadmiar żelaza. Każdy taki filtr składa się z czterech warstw żwiru o różnorodnej granulacji — od najmniejszej do największej.

Następnie woda wędruje do olbrzymich zbiorników wyrównawczych, które stoją wkopane obok studni. Czujniki automatycznie włączają i wyłączają pompy. Ze



Hydrofornia w Orli. Nad sprawnością urządzeń czuwa konserwator Mirosław Bakło

zbiorników wyrównawczych pompami poziomymi woda jest tłoczona do hydroforów, skąd pod ciśnieniem ok. 4 atmosfer wędruje do sieci odbiorców.

Hydrofornia w Orli zasila obecnie pięć miejscowości (Orlę, Koszele, Mikłasze, Wólkę i Reduty), podając wodę około dwóm tysiącom mieszkańców — średnio w okresie letnim 300 m3/na dobę, a w okresie zimowym 140 m3/dobę. W „suchym" lecie 1994 roku pobór wody wyniósł aż 825 m3/dobę. W razie awarii pomp, zbiorniki wyrównawcze zapewniają pobór wody na jeden dzień.

— *Sprawny, właściwie eksploatowany wodociąg* — informuje lek. med. Anna Topolewska, dyrektor Terenowej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej w Bielsku Podlaskim — *powinien zapewniać wodę pitną zgodnie z parametrami Polskiej Normy. Zawartość żelaza w jednym litrze wody nie może przekraczać 0,5 mg,*



Chociaż we wsi jest już wodociąg, to gospodarze dla oszczędności pieniędzy nadal korzystają ze studni. Na zdjęciu: studnia na posesji Stefana Kukołki

a manganu 0,1 mg. Konserwator hydroforni musi dbać o systematyczne płukanie odżelaziaczy oraz chlorowanie i raz na jakiś czas wymieniać żwir. Sanepid dokonuje kontroli wody raz na kwartał. W przypadku złych wyników może zamknąć wodociąg. Wtedy właściciel, najczęściej władze gminy, musi zapewnić dowóz wody beczkowozami.

***

Studnie do niedawna były nieodłącznym wizerunkiem rynku każdego miasta i miasteczka. Znikły wraz z pojawieniem się wodociągów. Likwidowano je najczęściej po prostu zasypując ziemią. Studnie znikły, ale wody pod nimi płyną sobie nadal.

Michał Mincewicz

Fot. Autor

Irena Matus

Hrybok, hrybok, pakaży swoj łabok...

Czas grzybobrania

Mieszkańców wsi nadnarwiańskich pomagała wyżywić nie tylko rzeka, ale również cała otaczająca przyroda, a szczególnie las. Od wiosny do późnej jesieni obfitował on w smakowite skarby — grzyby, jagody i maliny. W chłopskiej kuchni największe znaczenie miały jednak grzyby, które dawniej zbierano prawie wyłącznie na własne potrzeby. Sprzedawano je bardzo rzadko, gdyż grzybobranie nie było tak opłacalnym zajęciem jak dziś. Wtedy nikt grzybów nie skupywał, za to w chłopskich domach spożywano je w bardzo dużych ilościach.

Grzybobranie było powszechnym i lubianym zajęciem tak wśród dzieci, jak i dorosłych, a do lasu szło się nie tylko w celu bieżącego uzupełnienia jadłospisu i zgromadzenia zapasów żywności na zimę, ale też dla przyjemności.

Hryby i betki

Wszystkie grzyby dzielono na dwie grupy. Tylko prawdziwki nazywano grzybami — *hrybami*. Natomiast wszystkie pozostałe, w tym i trujące, określano mianem *betki*. Pierwsze borowiki pojawiały się w okresie kwitnienia kłosów żyta, tzw. *wypływania*. Stąd często nazywano je *wypływalnikami*. W lesie pojawiały się sporadycznie i najczęściej pojedynczo. Prawdziwych grzybiarzy one nie interesowały. Do domów przynosiły je dzieci, ale grzyby te najczęściej były robaczywe i nietrwałe, więc nie nadawały się do użytku. Mówiono o nich: „szcze wyliści nie uśpiew, a uże dośpiew". Trochę późniejsze, też jeszcze wiosenne, prawdziwki nazywano *biełу hryby*, natomiast te późniejsze, szczególnie jesienne — *czyrwony hryby*.

Prawdziwe grzybobranie rozpoczynało się w okresie żniw i trwało do pierwszych większych przymrozków. Wiele zależało od pogody. Suche lato i jesień nie sprzyjały grzybiarzom. Zdarzało się to jednak rzadko i grzybów było pod dostatkiem. Pamiętam opowieści moich dziadków o nieprzebranych ilościach prawdziwków-gigantów, które w lasach nadnarwiańskich zbierano po powrocie z *bieżeństwa*. Nieeksploatowana przez długi czas grzybnia dawała bardzo obfity plon. Takiego grzybobrania można dziś pozazdrościć.

Zbierania grzybów uczono się już od najmłodszych lat. Na długo przed sezonem brano dziecko do lasu, by poznawało teren. — Do dziś pamiętam takie wyprawy — mówi Włodzimierz Naumiuk z Kaniuk. — Miałem sześć, może siedem lat, kiedy wczesną wiosną ojciec oprowadzał mnie po lesie. Pokazywał grzybodajne miejsca, a przede wszystkim oswajał mnie z lasem.

Mały grzybiarz musiał porzucić wreszcie zapieckowy świat bajek. Nie mógł wierzyć w leśne duchy i strachy, którymi lękano dzieci. W prawdziwym świecie nie było już miejsca na Baby Jagi, które kradły ludziom głos (tak dzieciom tłumaczono zjawisko echa). Dobry grzybiarz nie mógł się niczego bać i musiał znać las jak własną kieszeń — tak jak rybak i flisak rzekę.

— Pierwszy raz poszedłem na grzyby z ojcem — wspomina pan Włodzimierz. — Później chodziłem już sam. Las wciąż widziałem oczami dziecka i nadal tęskniłem do przyrodniczego świata fantazji.

Świeże, solone, suszone

W chłopskich domach grzyby traktowano niemal nabożnie, jak pokarm, na który nie trzeba ciężko pracować, jak biblijną mannę. Szczególnie dużo spożywano ich jesienią oraz zimą (suszonych i solonych). Grzyby zbierano na własne potrzeby, sprzedawali je tylko najubożsi. Podróż na piechotę do odległego miasta z ciężkimi koszami pełnymi nietrwałego towaru była grą niewartą świeczki. — Za otrzymaną zapłatę można było kupić zaledwie zapałki, albo trochę nafty — kalkuluje w myślach pan Włodzimierz.


W lasach liściastych zbierano „kraśniuczki" Fot. Archiwum

W rodzinach zamożniejszych gospodarzy zbierano tylko prawdziwki. Jedynie w latach nieurodzaju w lasach zadawalano się i *betkami*. Zimą smakowało wszystko. Dlatego starano się robić duże zapasy zarówno jednych jak i drugich grzybów. Bo — jak mówi tutejsze przysłowie — *zimoj to i betka hrybom*. Z grzybowych potraw najbardziej popularny był *hrybowy borszcz*. W wielu domach razem ze złowionymi rybami grzyby stanowiły podstawę pożywienia. Stąd kolejne przysłowie — *płutka i hrybok najlepszy supok*.

W lasach liściastych, mieszanych oraz w polnych zagajnikach zbierano *podbieroźniki*. Oprócz prawdziwków do koszyków trafiały też: *pliski* (kurki), zwane też *żydowkami*, *hromadki*, *kurki* (kanie), *surojadki*, *reszutniki*, *bahniuki*, *opieńki*, *hałubki*, *siniuchi*, *wołowy jazyki*.

Duże ilości prawdziwków i *betek* suszono. Najczęściej robiono to w chlebowym piecu. Po wypaleniu się paleniska, gdy temperatura trochę spadła, wygarniano żar, rozkładano słomę, a na nią grzyby. Większe kapelusze krojono na połowę lub na ćwiartki. Czasem, przy bardzo dobrej pogodzie, grzyby suszono także na słońcu.

Gotowy susz przechowywano w lnianych torbach, w suchym miejscu. Do tego celu służyły też specjalne kosze, z podwójnym dnem i przykrywką. Wyplatano je wyłącznie z sosnowych korzeni. Przechowywano w nich także suszone i solone sery.

Jesienią rozpoczynały się żniwa na *zelonki* i *ryżki*. Te grzyby, ze względu na ich kruchość i łamliwość, na suszenie się nie nadawały. Przeważnie więc je solono. Do tego celu służyły dębowe beczki. Grzybów przeznaczonych na solenie nie myto. Wynikało to z przesądu, że woda spowoduje ich gnicie. Grzyby tylko czyszczono z igliwia, piasku i wycierano suchą szmatką. Następnie układano warstwami, przesypując bardzo dokładnie solą.

Świeże *betki* smażono na lnianym oleju. Czasem dodawano razowej, mielonej w żarnach, mąki. Wtedy dopiero smakowały! A już prawdziwym rarytasem były smażone na płycie rydze posypane solą.


W lesie zbierano również muchomory Fot. Archiwum

Do celów niespożywczych

Zbierano nie tylko grzyby jadalne. Czerwone muchomory w chłopskich domach wykorzystywano jako środek na owady. Prawdziwą plagą aż do późnej jesieni były muchy. Wtedy żadnych chemicznych środków owadobójczych nie było. Pozostawały sposoby naturalne. Jednym z nich było rozkładanie po izbie muchomorów. Niekiedy je obgotowywano, a następnie maczano w śmietanie i posypywano cukrem. Takie trutki były jednak niebezpieczne dla dzieci i kotów. Niosąc do domu kosz z grzybami, muchomory odzielano od reszty warstwą trawy. Najmłodszych grzybiarzy ostrzegano: — *A pomni, nie woźmi wowczaho hryba!*

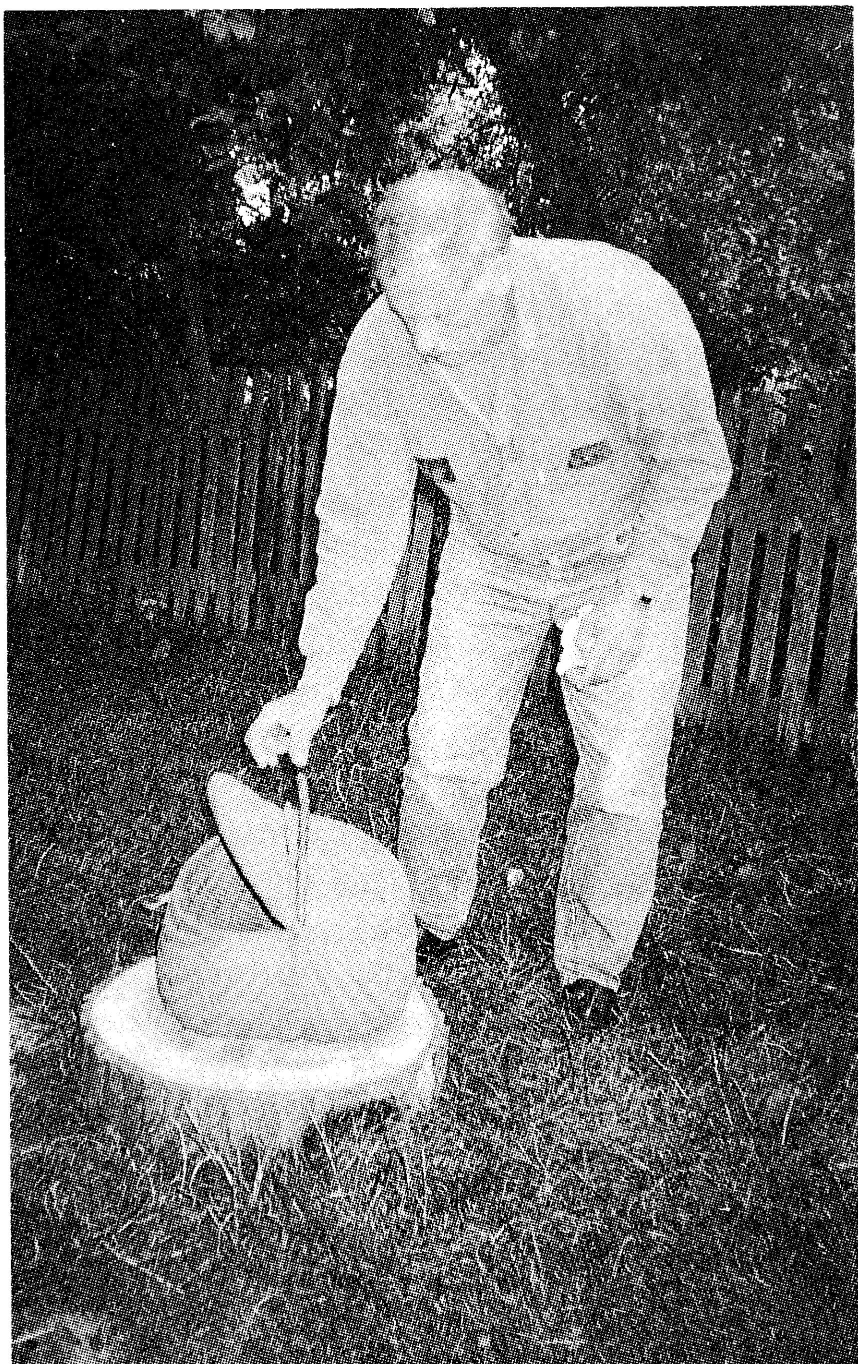
Huby, rosnące na omszałych pniach brzóz, służyły do rozpalania w piecu, bądź przypalania papierosa. *Hubkę* układano przy krzemieniu, o który uderzano kawałkiem żelaza. Sypały się iskry. Wtedy wystarczyło umiejętnie dmuchnąć, by rozniecić ogień. Huba zastępowała więc zapałki.

Natomiast dębowe huby służyły za środek na komary. Zbierano je jesienią, a następnie suszono i krojono na drobne kawałki. Przechowywano do wiosny w suchym miejscu, najczęściej pod piecem. Podczas wiosennych i letnich wieczorów, kiedy do chat ściągała szarańcza meszek i komarów, na gorącej płycie kuchennej rozkładano kawałki takiej huby. Tliły się one powoli, a wydzielający się dym, o specyficznym zapachu, skutecznie odstraszał owady.

Tajemnice grzybiarzy

Grzyby zbierano do płóciennych toreb lub koszyków. Prawdziwy grzybiarz wolał torbę. Taki nigdy nie chwalił się, ile uzbierał grzybów. W lesie zawsze był samotnikiem. Miał własne miejsca, które traktował jak swoje poletka. Dbał o nie, pilnował grzybni, poprawiał ją, kiedy została naruszona. — Żelazną zasadą było — wspomina Włodzimierz Naumiuk — nie pozostawić po sobie żadnych śladów. Grzyby obierało się już w domu, niekiedy na polanie albo przy leśnej drodze, nigdy zaś tam, gdzie je się znalazło. Miejsce po wyrwanym grzybie zawsze należało starannie przykryć. Dołek maskowało się bardzo dokładnie, aby nie zostawić śladów.

Dobry zbieracz posiadał też pewien zasób wiedzy na temat grzybów. Takie rady przekazywano jak tajemnicę rodzinną z pokolenia na pokolenie. Pan Włodzimierz zdradza, jak hodowano małego prawdziwka, którego się zobaczyło, ale był jeszcze za mały na zbiór. — Dobry grzybiarz w takim przypadku powinien przykryć takiego grzybka ściółką, ale nie tą w pobliżu, bo zostanie wtedy naruszona grzybnia i podcięte korzenie grzybka i on po prostu już nie urośnie.



Włodzimierz Naumiuk pokazuje kosz, w jakim przechowywano suszone grzyby

Fot. I. Matus

Powszechny był pogląd, że jeśli się ujrzało grzyba, to nie można było go zostawić i zebrać później, gdyż stanie się robaczywy, zgnije i nie urośnie. — To nieprawda — mówi pan Włodzimierz. — Jeśli nie zostanie naruszona grzybnia, będzie rósł dalej.

Dobry grzybiarz nikomu nie zdradzał swych miejsc. Strzegł ich jak źrenicy oka (to się nie zmieniło do dziś). Panowało przekonanie, że grzyby lubią ciszę. Przestrzegano — jak pójdziesz gromadą, to nic nie uzbierasz. Dlatego do lasu chodzono bez przyjaciół i rodziny.

Słabi grzybiarze prześcigali się w przechwałkach. Aby dodać sobie animuszu, zmyślali historie o udanych grzybobraniach. Byli i tacy, którzy już przed wyjściem do lasu obmyślali kamuflaż. Brali ze sobą baranie czapki, które kładli na dno koszyka, a na nie zebrane *betki*, a dopiero na wierzch dorodne borowiki. Czapkę czasem zastępowała garść trawy. — Ale to byli tylko pseudogrzybiarze — twierdzi pan Włodzimierz. Prawdziwy grzybiarz na pytanie, czy nazbierał grzybów, zawsze odpowiadał: — *A tam, nazbiraw trochi betok...*

We wsi grzyby były przedmiotem niepojętej zazdrości. Ale i tak wiedziano, kto ma pełen kosz prawdziwków, a kto tylko stwarza pozory.

— Grzyby można rozmnażać samemu — zdradza kolejną tajemnicę pan Włodzimierz. — Nie należy niszczyć starych, nie nadających się do użytku, grzybów. Nie można ich kopać, albo wynosić z lasu i porzucać przy drodze. Kapelusz takiego „staruszka" trzeba położyć w odpowiednim miejscu, przez siebie upatrzonym. Najlepiej pod mech, który dobrze trzyma wilgoć.

Kiedyś takie miejsce jeszcze podlewano. Za rok miało się już własne poletko grzybów.

Nie zapomnieć o chlebie

Idąc na grzyby, obowiązkowo należało zabrać ze sobą kawałek chleba. Najczęściej było to kilka sucharów. Doświadczona *bieżeństwem* ludność białoruska długo pamiętała głód. Dlatego prawie w każdym domu zawsze wisiał worek z chlebowymi sucharami. Do lasu chleb brano nie tyle po to, aby zaspokoić głód, spowodowany wielogodzinną wędrówką, decydowała tradycja i przesąd. Kawałek chleba miał gwarantować udane grzybobranie. Gdy się wchodziło do lasu, zaczynały się dziać rzeczy niepojęte. Kawałek zabranego z domu sucharа stawał się tajemniczym „chlebem zajęczym". Po powrocie miał już zupełnie inny smak. Dorosłego grzybiarza witała zwykle gromada dzieciaków, prosząc o ten „zajęczy" przysmak. Grzechem było o nim zapomnieć. — A smak rzeczywiście miał wyjątkowy — delektuje w myślach pan Włodzimierz. — Pachniał lasem, spadającym do koszyka igliwiem, żywicą. Aromatu dodawał zapach surowych grzybów. Dzieci z nieopisanym apetytem pochłaniały go jak największy rarytas. W ich dziecięcej wyobraźni rozbudzał historie leśnych duszków i Baby Jagi.

Było jeszcze magiczne zaklęcie, które miało gwarantować powodzenie grzybiarza. W myślach musiał ciągle powtarzać: *Hrybok, hrybok, pakaży swoj łabok!* A wtedy sukces ponoć był murowany i kosz mógł się okazać zbyt mały.

Na grzyby szło się bardzo wcześnie, skoro świt, kiedy las często był jeszcze spowity mlecznym woalem mgły. Dlatego łatwo było zabłądzić. Przytrafiało się to nawet tym, którzy znali las jak własną kieszeń. Niektórym, najczęściej dzieciom, zdarzało się w lesie usnąć. Gdy się budzili, dorośli ich pocieszali: — *Ne płacz, twoich hrybuw nichto ne wybere.* I rzeczywiście. Grzybów było w bród. Starczało wszystkim.

***

Nadnarwiańskie lasy, dawniej urodzajne w grzyby, dziś są już mocno przerzedzone. Starodrzew praktycznie jest już wycięty, a w nielicznych młodniakach grzybów za wiele nie uświadczysz. Żal.

Irena Matus



Kosz pełen prawdziwków — marzenie każdego grzybiarza

Fot. Archiwum

70. urodziny Józefa Stalina

Za niezwykle interesującą ciekawostkę historyczną można dziś uznaćdokumentację sporządzoną przez polskie władze partyjne w związku z przygotowaniami do uroczystych obchodów siedemdziesiątych urodzin Józefa Stalina — dyktatora nie istniejącego już Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich. Dowodzi ona jednoznacznie, w jaki sposób rządzący zapewniali sobie „poparcie i miłość mas". W rzeczywistości bowiem wszystkie tzw. „spontaniczne działania" były szczegółowo reżyserowane przez specjalistów od propagandy i opierały się na nakazie płynącym z centrali Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Wyraźnie wskazuje na to telefonogram zastępcy kierownika Wydziału Organizacyjnego Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej A. Alstera z 30 listopada 1949 r., przesłany do Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Białymstoku, będący w rzeczywistości dokładną instrukcją postępowania (dokument nr 1). Głoszona przez komunistów tzw. „jedność władzy z narodem" była kłamstwem, ale szerokie rzesze obywateli, pozbawionych prawdziwych informacji, całe dziesięciolecia dawały się manipulować przez władze.

Zachowane materiały archiwalne ukazują też, jak wielkie przy takich okazjach było marnotrawstwo ludzkiego wysiłku i pieniędzy. W powiatach powoływano bowiem lokalne komitety, których zadaniem było organizowanie w terenie fety na cześć J. Stalina. Angażowano rzesze dorosłych i młodzieży szkolnej. Absurdem było (z dzisiejszego punktu widzenia) tzw. „studiowanie życiorysu J. Stalina" — zresztą całkowicie zafałszowanego — przez członków PZPR, Związku Młodzieży Polskiej, wielu innych organizacji społecznych, a także pracowników urzędów państwowych i zakładów produkcyjnych. Jako ilustracja takiej, całkowicie wymuszonej, działalności nie tylko tzw. aktywistów, niech posłuży protokół z posiedzenia Komitetu Obchodów 70-lecia urodzin Stalina w Bielsku Podlaskim z 10 grudnia 1949 r. (dokument nr 2), które było wprowadzeniem w czyn zaleceń Komitetu Centralnego PZPR.

A że dla zwykłych ludzi była to praca bezsensowna, świadczy „zobowiązanie" członków drużyny Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej z Trześcianki (dokument nr 3). Tekst ten przygotowano najpewniej w Komendzie Powiatowej ORMO, ponieważ rzekomi „autorzy" wypełnili jedynie gotowy blankiet, wstawiając w odpowiednie miejsce nazwę miejscowości i podpis. Identycznych maszynopisów, pochodzących z różnych stron pow. bielskiego, zachowało się wiele.

Niezwykłą inicjatywę na niwie uczczenia rocznicy urodzin „wodza narodu radzieckiego" wykazał nauczyciel Białoruskiej Szkoły Ogólnokształcącej Stopnia Podstawowego i Licealnego w Hajnówce, Jerzy Gołub. Przy okazji napisał on podanie do komitetu PZPR, w którym zażądał pieniężnej premii za przechowywanie w czasie okupacji niemieckiej portretów Lenina i Stalina (dokument nr 4). Wydział Propagandy KW PZPR w Białymstoku zadecydował jednak, by nagrodą był złoty lub srebrny krzyż zasługi. Postawa J. Gołuba w niezwykły sposób koresponduje z całą akcją „świętowania" urodzin Stalina. Jest to co prawda przypadek jednostkowy, ale wymownie ukazujący bardzo specyficzne podejście do sprawy. Nastąpiło tu bowiem zderzenie odgórnych manipulacji ludźmi z oddolnym przedsięwzięciem człowieka, który utrafił bardzo celnie w oczekiwania komunistycznego aparatu władzy. A swoją drogą jest to przykład dosyć powszechnej w okresie Polski Ludowej tendencji przypodobania się rządzącym w celu uzyskania bardzo wymiernych, indywidualnych korzyści. Robiono to bez jakichkolwiek zahamowań moralnych. Ówczesne władze potraktowały J. Gołuba jako „kombatanta", który zmagał się w swoisty sposób z hitlerowskim faszyzmem. Podobnych „bojowników" można znaleźć w wielu działających obecnie w Polsce organizacjach kombatanckich.

Sławomir Iwaniuk

Dokument nr 1

Do Komitetu Wojewódzkiego PZPR Białys[tok] dla pierwszego sekretarza

Zgodnie z instrukcją KC w sprawie obchodu 70-lecia urodzin tow. Stalina zawiadamiamy, że:

1. W porozumieniu z waszym sekretarzem ekonomicznym ustalono przystąpienie do współzawodnictwa następujących zakładów przemysłowych: 1/ P[aństwowe] Z[akłady] P[rzemysłu] W[ełnianego] Nr 34, 2/ PZJG (F[abry]ka Pluszu), 3/ Elektrownia, 4/ Hajnówka — Tartak, 5/ Kolejowe Warsztaty w Starosielcach, 6/ Cegielnia. Zobowiązania powinny być przyjęte na zebraniach załóg najdalej do 4-5 XII 1949 r.

Główne zakłady pracy przyjmujące zobowiązania powinny je ogłaszać w formie listu do tow. Stalina.

Teksty listów należy starannie opracować i z najważniejszych zakładów posłać do Wydziału Propagandy KC celem akceptacji.

Współzawodnictwo na cześć 70-lecia tow. Stalina rozpoczyna w waszym województwie PZPW Nr 34.

Kolejność ogłoszeń w prasie pierwszych zakładów podejmujących zobowiązania uzgodnić z Wydz[iałem] Prasy KC.

2. Z waszego województwa powinno być wysłanych około 10-ciu listów do tow. Stalina. W tej liczbie część ze wsi, od młodzieży szkolnej i innych instytucji, w szczególności z gminnych spółdzielni Z[wiązku] S[amopomocy] Ch[łopskiej]: Kupiski pow. Łomża, ze spółdzielni produkcyjnych: Czyżew im. Marszałka Rokossowskiego lub spółdz[ielni] prod[ukcyjnej] w Zubowie.

Podstawowa część listów powinna być przyjęta i wysłana w ostatnich 3-4 dniach przed 21 XII 1949 r. Wszystkie listy należy przesłać przez KW [PZPR] do KC [PZPR].

3. Przypominamy, że podarki dla tow. Stalina powinny być zebrane w KW na dnia 10 XII 1949 r.

Zwracamy uwagę, że zarówno w sprawie zobowiązań, jak listów i podarków nie należy sztywno trzymać się podanych liczb i nie hamować inicjatywy oddolnej w tych sprawach, jednakże każdorazowo kontrolowanych przez KW.

Z[astęp]ca Kier[ownika] Wydz[iału] Organizacyjnego KC PZPR
A. Alster
Warszawa, dnia 30 XI 1949 r.

Dokument nr 2

Protokół posiedzenia organizacyjnego Komitetu Obchodu 70-lecia urodzin tow. Stalina w dniu 10 XII 1949 r. w lokalu K[omitetu] P[owiatowego PZPR] w Bielsku Podlaskim.

Obecni tow[arzysze]: Owczarek, Matejczyk, Giżewski, Tabor, Matusiewicz,

Tyminski, Przybyłek, Młodzianowski, z S[tronnictwa] L[udowego] Matwiejczuk, S[tronnictwa] D[emokratycznego] Backiel, S[łużby] P[olski] ppor. Gaj, Gim[nazjum] i Liceum ob. Stępień.

Porządek dzienny:

1/ Zagajenie.

2/ Zapoznanie z instrukcją KW PZPR w sprawie obchodu 70-lecia tow. Stalina.

3/ Wybór kom[itetu] Obchodu.

Do pkt 1/ Zagaja tow. Aleksiejuk podając cel posiedzenia.

Do pkt 2/ Instrukcje KW PZPR odczytuje tow. Aleksiejuk.

Do pkt 3/ W wyniku dyskusji wybrano Komitet w następującym składzie: przewodniczący ob. Stępień — dyrektor Gim[nazjum] i Liceum Ogólnokształcącego w Bielsku Podlaskim, członkowie: Matejczyk starosta, Kuśnierek — P[owiatowa] R[ada] N[arodowa], Backiel — prezes SD, Matwiejczuk Bolesław SL, Mazurczuk — L[iga] K[obiet], Lewczuk — P[owiatowa] R[ada] Z[wiązków] Z[awodowych], inspektor szkolny — Borodziewicz, Paczykowski — przewodniczący Pow[iatowego] Kom[itetu] Pokoju, Giżewski Jefim — burmistrz, Młodzianowski — przew[odniczący] ZMP, Stodułko — kom[endant] SP, Owczarek — prezes Z[wiązku] S[amopomocy] Ch[łopskiej], Tabor — kom[endant] ORMO, Arasimowicz — kom[endant] O[chotniczej] S[traży] P[ożarnej], kier[ownik] Szkoły Biał[oruskiej] Kostycewicz, Dawidziuk — kier[ownik] Szkoły Nr 2, Tymiński — kier[ownik] Szkoły Zawodowej, Przybyłek — orkiestra.

W wyniku dyskusji postanowiono:

1. Do dnia 21 XII br. Z[wiązki] Z[awodowe] przeprowadzą zebrania na zakładach pracy zaznajamiając z życiorysem tow. Stalina.

2. Pogadanki przeprowadzić i poranki w szkołach na temat życiorysu tow. Stalina — odpowiedzialny tow. Paczykowski.

3. Zorganizować Sztafetę Gwiaździstą ZMP z gmin: Narew, Narewka, Białowieża, Hajnówka, Orla, Kleszczele, Milejczyce, Siemiatycze, Boćki, Brańsk.

4. Zorganizować zebranie witające sztafety w Bielsku Podlaskim dnia 13 XII 1949 r. o godz. 13-tej.

5. Zapewnić środki lokomocji dla sztafety — odpowiedzialny tow. Matejczyk.

6. Na wszystkich zakładach pracy i instytucjach porobić gazetki ścienne obrazujące życie tow. Stalina — odpowiedzialne Z[wiązki] Z[awodowe].

7. Zorganizować akademię w Bielsku Podlaskim i Hajnówce, w Bielsku Podlaskim akademia odbędzie się w dniu 21 grudnia wieczorem z porządkiem dziennym: referat będzie miał I sekretarz Aleksiejuk, w części artystycznej deklamacje — Szkoła Białoruska, Gimnazjum i Szkoła Zawodowa oraz Szkoła Nr 2.

Gimnazjum Rolnicze wypisze transparenty. Ogłoszenie o akademii wypisze SP. Ludność zawiadomi KP [PZPR] i Z[wiązki] Z[awodowe]. W Hajnówce akademia odbędzie się dnia 20 XII wieczorem, referat [wygłosi] I sekretarz tow. Aleksiejuk. W części artystycznej wezmą udział miejscowe szkoły.

Za zorganizowanie akademii odpowiedzialny tow. Arasimowicz.

Samopomoc Chłopska przeprowadzi pogadanki na swoich kołach na temat życiorysu tow. Stalina. Wysłać pismo do Szczerbana w sprawie sali kina „Znicz".

Starosta wyśle do wszystkich miast zarządzenie, ażeby udekorowano miasta i wsie flagami czerwonymi i biało-czerwonymi. Burmistrz odpowiada za dekorację miasta.

Protokolant **Żero M.**
I sekretarz Kom. Pow. PZPR
w Bielsku Podlaskim **Aleksiejuk J.**

Dokument nr 3

Zobowiązanie

My członkowie drużyny ORMO w Trześciance, gm. Narew, w związku z nadchodzącą 70-tą Rocznicą Urodzin Drogiego nam wszystkim Tow. Generalissimusa Stalina, Wodza i Nauczyciela Wielkiego Związku Radzieckiego i Proletariatu całego świata, Przywódcy Światowego Frontu Pokoju, Pogromcy Hord Faszystowskich, Genialnego Wodza Bohaterskiej Armii Czerwonej, Wyzwolicielki Naszego Kraju, pragniemy dać wyraz bezgranicznego przywiązania, wdzięczności i miłości do niego, jako członkowie ORMO, żołnierze Demokracji Ludowej przez:

1. Podnieść stopę wyszkolenia politycznego, wojskowego i fachowo-milicyjnego poprzez regularne odbywanie zbiórek raz w tygodniu, na które przychodzić będziemy wszyscy, aby przez to móc skutecznie prowadzić walkę z wrogiem.

2. Zapoznać się z życiem i pracą Tow. Stalina przez studiowanie jego Życiorysu i dzieł.

3. Podnieść i wzmożyć współpracę z Post[erunkiem] MO po linii udzielenia się w tej pracy przez podniesienie ilości obchodów i patroli wspólnie z MO przy zabezpieczeniu P[aństwowego] G[ospodarstwa] R[olnego], spółdzielni gminnych, obiektów przeciw zakusom wroga oraz wzmożenie rewolucyjnej czujności.

4. Dając wyraz głębokiej miłości zobowiązujemy się wszyscy do wstąpienia w szeregi Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, aby stać wiernie na straży przyjaźni ze Związkiem Radzieckim.

[pod spodem 18 podpisów]

Dokument nr 4

Do Miejskiego Komitetu PZPR w Hajnówce

Gołuba Jerzego nauczyciela Białoruskiej Szkoły Ogólnokształcącej Stopnia Podstawowego i Licealnego w Hajnówce

Podanie

Uprzejmie proszę o przyznanie mi premii za przechowywanie podczas okupacji niemieckiej portretów inkrustowanych Lenina i Stalina, które to przekazałem miejscowemu komitetowi PZPR w Hajnówce.

Hajnówka, dnia 22 grudnia 1949 r.
Jerzy Gołub



W tej stodole w czasach stalinowskich gromadzono zboże na obowiązkowe dostawy. Od dawna stoi już pusta i niebawem zniknie z krajobrazu białoruskiej wsi na Białostocczyźnie **Fot. W. Zawadzki**

Aleś Czobat

Na końcu jednego i drugiego świata

II. Kraina chaosu umysłowego (i nie tylko)

Przestrzeń między Warszawą a Mińskiem Litewskim traktowano jako strefę przejściową. Zapominamy jednakże, że na takim pasie terytorialnym może mieszkać jedynie przejściowa nacja. Normalna bowiem w takich warunkach historycznych jest nie do pomyślenia. Białorusini byli więc czymś „przejściowym" właśnie — każda polska wojenka z Imperium Rosyjskim i każda zemsta tegoż Imperium, dokonywana w odwecie na Polakach, skutkowała zmniejszaniem się Białorusinów w Białorusi. Obecna linia podziałów w niej ustaliła się wcale nie wczoraj ani przedwczoraj, ale ze dwieście lat wstecz. Mamy więc: Kresowych Polaków, Tutejszych, Prostych Ludzi, i nieco tzw. Szczerych Białorusinów. Ci ostatni są męczennikami zresztą, którzy żyją po to, by zginąć.

Fenomen tej przejściowej nacji łączy się z etosem męczennictwa, cechuje ją skłonność do samobiczowania się z rozpaczliwym jednocześnie poszukiwaniem wyjścia ku normalności dziejowej. Swego rodzaju fatalizm odrodzeniowców z okresu „Naszej Niwy" u zarania XX w. polegał na tym, że „tutejszy" już nie chciał pozostawać tutejszym, nie życząc sobie zarazem stania się Białorusinem. On, ów tutejszy, dążył do tego mianowicie, by zostać takim jak wszyscy. Tutejsi do spółki z Kresowymi Polakami trwali cierpliwie w oczekiwaniu okazji do rzucenia się pędem w kierunku najbardziej korzystnym dla nich. Przy czym aż do dziś występuje w tych stronach intrygująca okoliczność: „kresowi" wściekają się na „tutejszych" za to, że nie ma tu Polski i dlatego mają się znacznie gorzej. „Tutejsi" zaś bryzgają na „kresowych", dopatrując się w nich również winy, tyle że na odwyrtkę: przez te cholerne Kresy trudno złączyć się ze wspaniałą, ponoć mlekiem i miodem ociekającą, Rosją.

Kto jest Białorusinem, automatycznie zyskuje miano nacjonalisty (dobrze jeszcze, jeśli nie faszysty). Nacjonalistów tych w Białorusi jest z pewnością mniej nawet, aniżeli jeden procent w stosunku do całej ludności. Uczciwie mówiąc, drobny ułamek ich jest albo i ułamek ułamka. Także i owi Kresowi nie stanowią jakiejś imponującej liczby osób, chociaż sami mniemają o sobie, że jest z nimi inaczej. Na dobitkę — czas pokazał, że pani Warszawa wcale się nie emocjonuje ich losem. Po prawdzie, niby w imię czego i po co? Przytłaczającą większość w ponad dziesięciomilionowej Republice Białoruś stanowi ludność szczególnego autoramentu, gotowa właściwie na każde poniżenie, byle mieć co do garnka włożyć — uciera się pogardliwa nazwa **łukaszenkowcy**. Od nazwiska ukochanego przezeń prezydenta państwa. Aliści ów idol mas o wiele przewyższa ubóstwiające go tłumy, przynajmniej sprytem i odwagą.

Nacjonalizm w Białorusi sprzed stulecia ściśle łączył się z ideą rewolucji socjalnej. I tu ciekawostka: wielcy panowie oraz drobiazg szlachecki, pomimo swej polskiej kulturalności, całkiem aksamitnie tolerowali tamtą „nacjonalistyczną" wileńską „Naszą Niwę". Gdy jednakże w tym czasie pojawił się w Wilnie niejaki Wania Sałamiewicz ze swą ideologią typu „Białorusin, to też Rosjanin" i za pieniądze dziwnego pochodzenia wydał był próbny numer adekwatnego tym poglądom gazeciątka — wnet wyleciał z Wilna, niczym korek z butelki szampana! I nikt nie był w stanie go poratować, żaden Petersburg ani czarnosecinny, wpływowy wówczas Wielkorus Puryszkiewicz lub inne szare eminencje na imperatorskim dworze. Biedny Wania z mentalnością kmiotka naiwnie zaufał imperium. Wykombinował mianowicie — przybliżmy się nieco do konkretów z jego programu — że w zamian za przeistoczenie się Białorusinów w Rosjan władze uszczęśliwią tych mużyków nadaniami solidnych nadziałów ziemi ornej właśnie z polskich dworów! Najwięcej miało dostać się, naturalnie, fanatycznym nowo-Rosjanom... Ten głupek zapewne nie zdawał sobie sprawy z tego, że Rosja tylko panuje nad Kresami, a rządzą nimi ci, w ręku których ziemia i kapitał. Czyli Polacy, oczywiście nie szaraczkowi. Pieśń Sałamiewicza urwała się, zanim zdążył on dośpiewać pierwszą zwrotkę. Czy coś zrozumiał z tej swej przygody, nie wiem: wszelki ślad po nim na czas jakiś zaginął. W odróżnieniu od Łuckiewiczów i emitowanej przez nich „Naszej Niwy", która apelowała jedynie do ludu, jego ciemnych umysłów i półbarbarzyńskiej moralności, Sałamiewicz popełnił ten kapitalny błąd, że adresował swe postulaty wprost do rosyjskiego naczalstwa, co musiało wywołać uczucie grozy w polskich salonach. W końcu, czy zastanawiał się ten awanturniczy chłopek nad prawdziwymi powodami zabójstwa — w Kijowie — premiera Stołypina, nietuzinkowego reformatora ekonomiki rosyjskiej? — Bóg raczy wiedzieć.

W Białorusi sprzed pierwszej wojny światowej żadna inna ideologia nie mogła głęboko zapuścić korzeni, prócz socjalnej, socjalistycznej. Obecnie wraca to poniekąd jak bumerang. W Białymstoku, Grodnie i w Wilnie onegdaj założyli Żydzi partię Bund, wielce ważącą w losach tego kraju. Bund niebawem zaaranżował w Mińsku niewielkie zebranie założycielskie rosyjskiej socjaldemokracji, która wkrótce powiła bolszewizm. Więc dzisiaj film kręci się w odwrotnym kierunku jak gdyby.

Nie życząc sobie posiadania własnej idei narodowej, ci wszyscy „tutejsi" uczepili się wtedy socjalizmu. Reakcja na to „kresowych" była taka, że jęli wyglądać przyjścia legionów z Kongresówki (niektórzy wyślepiają się aż do dziś). Owego „pójścia w komunisty" nie należy uważać za błąd; było w tym coś z wyboru sobie narodu. Dobitnie rozjaśnia to następująca anegdota: katolik jest Polakiem, prawosławny Ruskim, Białorusin zaś komunistą, jednakowoż po zlikwidowaniu Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego Białorusini okazali się być zbyteczni...

Ideały równości i sprawiedliwości społecznej ogromnie przyciągały, lecz nie na długo. Socjalizm — z perspektywą na



Witebsk. Szara, białoruska rzeczywistość u schyłku dwudziestego wieku
Fot. M. Łuksza

komunizm — przetrwał ze trzy pokolenia i dość nagle zgasł. Owa czerwonosztandarowa nacja zdążyła jednak porządnie wystraszyć świat, po czym zaczęła usychać, a były to galopujące suchoty. I nie w tym kłopot, że Białorusini zapomnieli języka w gębie, tudzież mowy ojczystej. Gorsze jest to, że odbiło im pamięć i dlatego wcale nie palą się do rodzimego słowa, ponieważ w międzyczasie stali się nową nacją, o której dopiero co wzmiankowałem, a która ogromnie sprawnie ukołchoźniła się, skomunizowała i dosiadła zarazem swej „starszej siostry", czyli Rosji, niczym jemioła na drzewie; i po dziś dzień uważają się ci oni za najsprawniejszy naród na kuli ziemskiej. Wprost nieziemsko przebiegły i na wylot wszyściutko pojmujący.

Zwady między Kresowymi a Tutejszymi nie wykraczają ponad poziom bytowy. Kresowi pomstują na Tutejszych, boć żyje się w Białorusi ubogo w porównaniu z Polską. Tutejsi zaś odszczekują Kresowym, że Białoruś — i tu paradoks argumentacji u tych prostaczków — mimo wszystko ma się lepiej, aniżeli wygłodzona i zapijaczona Rosja (nagle już nie rajska). A tak w ogóle, o co tym „pszekom" chodzi, u diabła?! Tym proszepanom! Teraźniejszy poradziecki Białorusin wcale nie pragnie lepszego życia, żeby było mu coraz lepiej. On pragnie jedynie żyć lepiej, aniżeli się żyje w Rosji. I tyle. A dlaczego nie chce miewać się lepiej, aniżeli w Niemczech? Albo, chociażby, w Polsce? Powód takiej postawy jest prosty: bo to nierealne dla nacji komunistów... Każdy inny naród, podobny swym łachmaniarstwem, gnębiony ponadto poczuciem niedowartościowania, zachowuje się zawsze identycznie: byle zwyciężyć kogoś, za wszelką cenę i kogokolwiek! W przypadku radzieckich Białorusinów chcą oni przynajmniej moralnej przewagi nad Rosją, która zatraca miłą ich oku czerwonokolorowość, a najlepiej pokonać ją — oczywiście nie wprost, bo i jak (?) — słusznie wspomagając w niej samej swych „braci klasowych"... Ostatecznie — Związek Radziecki skurczył się do wymiarów Białorusi, co straszliwie ich smuci.

Tutejszy natrząsa się ze swej kultury i ze swej ojczyzny, dlatego głównie, że jemu każda kultura i każda ojczyzna jest obca. Władza radziecka jest mu matką i macochą zarazem. I, co się może wydać na pierwsze wrażenie dziwne, identycznie reagują także Kresowi. Ostatnia repatriacja Polaków ze wschodu do Polski miała miejsce za wczesnego Gomułki, pod koniec lat pięćdziesiątych. Przy okazji pytam swą koleżankę, chodzącą w aureoli grodzieńskiej Polki: — A to czemu nie wyjechaliście wtedy? — Wiesz — odpowiada — stary już był zebrał się, ale odwiedził go szef z pracy, który powiedział mu: w porządku, zostajesz u nas kierowcą, przydzielamy ci półtoratonową ciężarówkę, zdejmuj kufajkę i wkładaj marynarkę... — Więc twój ojciec — odrzekłem — zamienił Polskę na lżejszą pracę u siebie... — Nie wygaduj na naszych Polaków! — oburzyła się koleżanka.

Dzisiaj koło grodzieńskiego Domu Sowietów zgodnie żebrzą Tutejsi z Kresowymi. Nieszczęśnicy, oczywiście. Nic z nich już nie będzie. Ich zgoda wzajemna jest odmianą obojętności między nic nie posiadającymi. Zgoda zaś jako taka jest wszak rodzajem umowy między stronami, które nawzajem mają coś do zaoferowania sobie, więc muszą być bogate lub przynajmniej zamożne. Jakaż może być umowa między żebrakami na Kresach?

Tak zwani Prawdziwi Polacy wzmiankują o Białorusinach raczej rzadko, lecz interesująco. Kiedy kontrwywiad rosyjski onegdaj zaaresztował po raz pierwszy Józefa Józefowicza Piłsudskiego, działającego wówczas wespół z rosyjskimi socjalistami w grupie Aleksandra Uljanowa, brata Lenina, w śledztwie przyszły Naczelnik Państwa Polskiego zapodał do protokołu przesłuchania, iż jest narodowości białoruskiej. Jakżeby inaczej, skoro Białorusinów zsyłano nie dalej, aniżeli na Powołże (do Wiatki), natomiast Polaków gnano nie bliżej jak do syberyjskiego Tobolska! Albo weźmy na ten przykład grudzień czterdziestego pierwszego, kiedy Wehrmacht usiłował oblec Moskwę, wojna przedłużyła się w nieskończoność. Na Kremlu akurat siedzą przy kolacji Stalin z Sikorskim i Andersem, próbując dogadać się w temacie Polski. Anders wyrzeka na piętrzące się przed nim trudności w formowaniu armii polskiej, zwłaszcza w dopływie do niej materiału ludzkiego. Stalin replikuje mu na to, że coś chyba nie tak, bo wydał wyraźne polecenie zwalniania z obozów wszystkich Polaków i kierowania ich pod rozkazy Andersa. Anders natychmiast uściśla problem, mówiąc, że — Polaków, to i owszem, lecz idzie mu w ogóle o byłych obywateli polskich, Białorusinów, Ukraińcow, Żydów, których to przetrzymują. Zdziwiony nieco Stalin rzecze: po co wam oni, przecież sami Polacy wcale pięknie walczą. Generał Anders, z pochodzenia Niemiec łotewski i protestant, tłumaczy więc Stalinowi, że gdy, kiedyś, w jego pułku Białorusini stanowili niemal osiemdziesiąt procent żołnierzy, to żaden inny pułk mu wtedy nie dorównał w całej armii..!

Takie to buty, panie dzieju: jak trzeba iść na wojnę, momentalnie doceniają Białorusina!

Podejrzewam sobie na prywatny użytek, że nasza oklepana „miłość do Rosji" w samej rzeczy jest li tylko niechęcią do Polski (być może jedynie do Kresowych, co trzeba będzie jeszcze ustalić). Nic to, że przed Moskalami kulimy się uniżenie — przecież świat cały do niedawna też przed nimi dygał — ale za to pognębimy Kresowych! Podejrzewam przy tym i to, że my tutaj, na Kresach, po prostu odzwyczailiśmy się od normalnego życia — stale korci nas walczyć o coś, zmagać się, kołatać. Nawet rodzimy się z uczuciem jakiejś krzywdy i z takim uczuciem umieramy. Dane nam przez los lata od przyjścia na ten świat do zejścia zeń przeznaczamy w całości na wzajemne pożeranie się. Nie jesteśmy w stanie, brak sił, by przyswoić sobie chociażby którąś jedną kulturę narodową, zupełnie nie zastanawiając się nad tym, że ludzi formatu Mickiewicza, Bahuszewicza, Orzeszkowej nigdy nie bywało na pęczki i że zawsze będą to jednostki absolutnie wyjątkowe, unikatowe na wieki. Czasami nachodzi mnie i taka myśl, że już lepiej by było raz przecierpieć jakąś czystkę etniczną, niźli beznadziejnie pokutować w tutejszym bagnie głupoty aż po szyję. Nasza ta pokuta jest chyba czymś na kształt wyroków Historii, żyjemy bowiem na styku dwóch światów, pomiędzy



Jesień w Mińsku (1996 r.). Białorusini swą narodowość kojarzą z przynależnością do kolektywu, kołchozu, nigdy do kultury

Fot. J. Osiennik

Rosją a Europą. Dlatego płodzimy poczwary, wydrapujących sobie oczy katolickich kołchoźników w zetknięciu z prawosławnymi antysowieciarzami. Taki jest nasz los. A z losem trudno walczyć, właściwie nie sposób.

Podejrzewam także, że z Kresowych nie da się uzyskać więcej, aniżeli absurdalną kategorię też-Polaków, analogicznie z też-Białorusinami wśród mrowia Tutejszych. Barierka ta do pokonania jest niziutka, bo nieco wyżej nikt z nich nie przeskoczy, rozbije nos. Czytelnym celem życia każdego z nich jest jeno wywyższyć się nad swym sąsiadem. Czy nie w tym tkwi sekret kultury pogranicza, nieustający w niej ferment samoidentyfikacji, wieczny strach, samounicestwianie się, zmiana masek, skok wte i nazad... Porozumienie między nimi, jak i między Białorusinami a Polakami, nie jest możliwe bez zaprzestania owego ciągłego ustalania, kto jest kim. Bez wyrugowania właśnie tych sensów deklaracji narodowościowych, które kojarzą się z przynależnością do społeczności, do kolektywu, do kołchozu, lecz nigdy do kultury..!

Proszę mi wierzyć.

Cdn.

Tłum. i opr. Sokrat Janowicz

P.S. — Bardzo ważna uwaga: przeciętny człowiek niezbyt życzy sobie bycia cząstką określonej kultury, bowiem o wiele prościej mu jest bycie cząstką po prostu jakiegoś stada społecznego. Kultura jako taka wymaga przecież sporego wysiłku umysłowego, a ponadto toleruje inność, odmieńców, co prostakowi jest wręcz nie do pojęcia. Kresy w **swej masie** żyją poza jakąkolwiek kulturą — na pewno poza białoruską, dokładnie poza polską, również poza rosyjską (język „trasianka").

■ Refleksje

Jerzy Sulżyk

Gdzie jest życie?

Gdzie indziej. Jakaś przewrotna myśl nakazuje mi uczynić z życia kolejny przedmiot do gry i zabawy. To już nie ja jestem „w życiu", ale rozkapryszone życie odwiedza mnie albo nie. A kiedy go poszukuję, z przykrością zauważam, że salony, do których je zapraszano, świecą pustką.

„Życie jest gdzie indziej" — odczytał napis na murze paryskiej Sorbony Milan Kundera. Nie ma życia w tej świątyni nauki i wiedzy, idei i marzeń. W świecie sztucznym, opartym na grze pozorów i złudzeniach. Miłość, pożądanie, zło, dobro, a nawet śmierć, nie są w nim prawdziwe, a tylko czemuś służą. Jak przedmioty, jak zabawki, jak lekarstwo na samotność, pesymizm. W końcu okazuje się, że to wszystko jest poezją, a życie... jest gdzie indziej.

Pesymizm

Idee żywią się pesymizmem. Bierze się on z obserwacji świata. Refleksja nad światem pobudza wrażliwego człowieka, który odkrywa w sobie twórcze siły i prędzej czy później będzie chciał świat zmieniać. I zacznie uporządkowywać go według własnych planów. Albo poprzestanie na jego biernej obserwacji i opisie.

Gdy po raz pierwszy odczytałem zdanie „Życie jest gdzie indziej", mimochodem pomyślałem o białoruskiej inteligencji w Polsce. O grupach (elitach) i ich liderach. O rozmowach między nimi, a właściwie o ich braku. O dyskusjach, których nie ma. O atmosferze intelektualnej, o której nic nie wiem. O ciągłym pośpiechu. I że w całym tym szumie, hałasie, nie da się w ogóle rozmawiać. Odnoszę wrażenie, że wszyscy są czymś strasznie zmęczeni, zabiegani, załatwiają tysiące spraw jednocześnie. Rób coś, działaj, szukaj pieniędzy! Bo musisz być dobry, fachowy, mówiąc modnym językiem, profesjonalny. Oto model aktywnego Białorusina! Nasze narodowe więzi stają się coraz bardziej „rynkowe", bez wyrazu. Stają się czystym wyrachowaniem, pozbawionym emocji. Dla kogo to wszystko?

Niezależny ruch białoruski, który rozwinął się w latach osiemdziesiątych, wykształcił naprawdę duży potencjał intelektualny. Stworzyli go ludzie myślący nowocześnie, otwarci na świat, wszechstronnie wykształceni. Zaowocowało to fenomenalną wręcz aktywnością młodych Białorusinów. Szczególnie w obszarze mediów. O ile dawniejszy model działalności na białoruskiej niwie opierał się na schemacie bezpośredniego kontaktu odbiorcy z kulturą — ludową przeważnie — to dzisiaj odbywa się on głównie za pośrednictwem mediów. Ale dzisiaj środki masowego przekazu nie tylko opisują rzeczywistość, one coraz wyraźniej chcą pełnić rolę kreatora. I „białoruskość" podąża tym samym szlakiem, a przynajmniej stara się iść w takim kierunku. Tyle tylko, że siła „białoruskich" mediów w Polsce nie za bardzo przystaje do takiej roli. No bo co jest w stanie wykreować „Niwa" czy „Czasopis", gdy jednym z najważniejszych ich zadań okazuje się po prostu istnienie na rynku prasy, a emocje wydawców co roku sięgają zenitu, gdy w Warszawie rozstrzygają się losy budżetu Ministerstwa Kultury. Więcej, z racji swej siły, mają do powiedzenia publiczne radio i telewizja. Czy jednak widać tam tę siłę w odniesieniu do białoruskości? Ocenę pozostawiam odbiorcom tych mediów.

Być Białorusinem, to być pesymistą. Nakładają się na siebie: nostalgia za przeszłością, poczucie niemocy i przeciekania czasu przez palce (dziś), i nikła nadzieja na jakąkolwiek poprawę (w przyszłości). „Kiedyś to bywało..." — lubimy mówić. I przytaczamy jednym tchem wspomnienia naszej Arkadii, tętniących życiem wsi (dziś wymierających), gwaru



dzieciaków, rozmawiających ze sobą na co dzień po białorusku... „I tak nic na to nie poradzisz” — to też my. Z rezygnacją zauważamy, że za mało znaczymy, żeby mieć wpływ na to, co się z nami dzieje. Gdzie indziej zapadają decyzje i rozstrzygają się nasze losy. A przyszłość? „Jeszcze parę lat i zostanie nas tylko garstka”. Prawda, że to wszystko nie nastraja zbyt optymistycznie?

Pesymista wszystko to gromadzi w sobie. Układa w racjonalne ciągi. I rozumie, jakże on doskonale pojmuje tę nieszczęsną materię! I tylko jednej rzeczy nie jest w stanie pojąć — skąd w obliczu tej chłodnej kalkulacji bierze się jakaś całkiem irracjonalna nadzieja, że nie wszystko jeszcze stracone? Przez chwilę nie wie, co się z nim dzieje, a potem zaczyna bać się, że właśnie wkrada się do niego niewiadomym wejściem optymizm.

Nikt nie lubi pesymistów (bo też i za co ich lubić), co najwyżej nas fascynują. Nie lubi się ich za to, że trzeba przez nich zastanawiać się nad sobą. Włożyć w to trochę wysiłku. A to już boli.

Yellow dog

to w wolnym tłumaczeniu na język polski „pies ogrodnika”. Znaczy ktoś, kto sam nie ma i innym mieć nie pozwala. Zawistnik. W złagodzonej formie — cieszy się z czyjegoś niepowodzenia, w pełni przekonany o swojej nieomylności i jedynosłuszności. (Jednak muszę to powiedzieć!) Ze smutkiem patrzę na skłócone środowiska białoruskie w Polsce. Jest to coś tak nieprzyjemnego i szkodliwego zarazem, że nie sposób o tym milczeć. Potworzyły się nam jakieś, za przeproszeniem, salony i koterie, czy jak je tam zwał, grupy, zamknęły się od środka i nikogo nie wpuszczają. A jak już tam ktoś przypadkiem WDEPNIE — palcem pokazują mu gdzie ma spocząć i siedzieć cicho. Tymczasem nie wietrzone salony zaczynają śmierdzieć, jedne stęchlizną, inne tanimi perfumami, jeszcze inne toną w dusznym zapachu kadzideł. A wszędzie, gdzie nie wejdziesz, boli głowa. I w imię czego tak się dzieje? Czy nikt z „naszych” geniuszy-wizjonerów nie słyszał o czymś takim jak kompromis? Czy nikt nie rozumie, że tylko umiejętność ustępowania sobie nawzajem, wyrzeczenia się części swoich — jak by nie doskonałych — idei stwarza możliwość jakiegokolwiek porozumienia? To dzięki zdolności otwarcia się na drugiego człowieka „pierwszy człowiek” (czyli każdy z nas) potrafi znieść jego towarzystwo. W przeciwnym razie życie omija te wszystkie nieprzystępne obszary i zagląda gdzie indziej. Jeśli o nas chodzi, to najczęściej jest ono właśnie w owych wymierających wsiach na Ścianie Wschodniej, wśród mówiących już tylko po polsku białoruskich dzieci i w tym podobnych miejscach. Nie ma życia w dyskusjach pełnych frazesów i postulatów albo w samej li tylko walce o białoruskość (o pieniądze, zasady, równe traktownie), nie ma życia w taktycznych zagrywkach, gdzie liczy się tylko wynik gry bez względu na wszystko. Wszędzie tam wieje przerażającą pustką.

„Wiem, jak należy odradzać białoruskość, ale nie powiem” — jakbym słyszał z wielu ust naraz. „To mój pomysł”, przy czym dużo ważniejsze jest owo „mój” niż „pomysł”. Bo istotne jest tylko kto za czym (kim) stoi. Ale niech się później nikt nie dziwi, jak jakiś młody Białorusin napisze na murze którejś z „naszych” szacownych instytucji nie „Żywie Biełaruś!”, ale „Życie jest gdzie indziej”. Albo: „Białoruś jest gdzie indziej”.

Fot. W. Choruży

Teresa Zaniewska

Droga i wędrowiec*

Obraz domu jako elementu struktury przestrzennej ewokuje motyw powrotu, łączy się z przemierzaniem drogi, bywa postrzegany jako chwilowa przystań między jedną a drugą podróżą. Dom, jako miejsce przyjazdów i odjazdów, wskazuje w poezji Białowieżan na nieustanne wędrowanie i pielgrzymowanie człowieka. W literaturze renesansowej symbolizowało ono tymczasowość ludzkiej obecności w życiu ziemskim, którego kres następował z chwilą śmierci i osiągnięcia wiecznej, niebiańskiej szczęśliwości. Topos wędrówki ma niezwykle bogatą historię, zaświadczoną przez dzieła literackie poszczególnych epok[1]. Dzięki udanym próbom zmierzenia się z wieloraką symboliką mitów wędrówki, w literaturze światowej powstało wiele wybitnych dzieł, które pozwalają zgłębić świadomość istoty ludzkiej egzystencji. W literaturze współczesnej topos wędrówki jest wyznacznikiem nieustannego poszukiwania, symbolem lęku i niepewności człowieka, a jednocześnie wyrazem samotności i manifestacją bezsilności wobec losu. Od zarania dziejów na człowieku ciąży brzemię pielgrzymowania, przywdziewa on szatę wędrowca, by wypełnić swe ludzkie powołanie, bowiem wędrowanie, będące koniecznością i wyborem, leży w naturze człowieka. Obraz wielkiego wędrowca pozostaje wciąż żywy w tradycji literackiej, począwszy od motywu wygnania z raju i od postaci biblijnych — Adama, Noego, Izmaela, Jonasza, Syna Marnotrawnego oraz od klasycznych wzorów bohaterów mitycznych, wielkich antycznych poszukiwaczy, żeglarzy i wędrowców, wyruszających na podbój nieba i ziemi, nieba oraz piekła, by przywołać tu argonautów, Ulissesa, Edypa, Ikara, Orfeusza[2]. Uosobieniem ludzkiego losu jest mit Odyseusza, tułaczka, tęsknota i chęć dalszego wędrowania, a literatura tak długo jak istnieje, bywa jego artystycznym świadectwem. „Boski” Odys odrzucił propozycję zamieszkania w raju oferowanym mu przez boginię Kalipso, a tym samym oddalił od siebie miłość, młodość i nieśmiertelność. „Przemądry i przebiegły” nie zgodził się na uszczęśliwienie przymusowym i stałym rajem, które nie zgadzało się z jego naturą. Przez siedem lat tęsknił do Itaki, której pozbawili go bogowie i los. Jeden z największych literackich podróżników świata nosił w sobie obraz ojczyzny i domu rodzinnego. Przyjmował gościnę i boskie raje, ale nie na zawsze. Spokoju nie osiągnął nawet wtedy, gdy wrócił do Itaki, podejmując krwawą walkę ze swoimi. Mit Odysa i motyw Itaki przyjmują postać wielkiej figury antropologicznej. Podróże i wędrówki powtarzają się od czasów biblijnych po współczesność jako jeden ze znaków i sposobów naszego bytowania w świecie, skoro nie zostało nam dane doświadczanie mitycznego raju. O człowieku jako „homo irrequietus” mówił św. Augustyn, utrwalony na freskach Benozzo Gozzoliniego jako Niespokojny Podróżny, który świadom był faktu, iż decydujące objawienia spotykają ludzi właśnie w drodze, jak stało się to z Szawłem odmienionym w drodze do Damaszku na wierzącego Pawła. W ikonografii św. Augustyn, przemierzając drogę z Rzymu do Mediolanu, „jedzie (...) poprzez różne obszary religii i kultur, pewności i zwątpienia, czasu minionego i mijającego”[3]. Niepokój myśli, odwieczne wątpliwości, chęć wymiany doświadczeń i spotkania z Innym nie pozwalają człowiekowi trwać w bezruchu, skazują go na nieustanną

wędrówkę, odsłaniającą radość i smutek wszelkiego poznania oraz będącą wielkim doświadczeniem humanistycznym. Słusznie podkreśla Helena Zaworska, iż „Problem konfrontacji kultur, światopoglądów, programów społecznych i politycznych, dorobków naukowych, cywilizacyjnych, artystycznych wydaje (...) się najważniejszym problemem sztuki podróżowania, i to we wszystkich epokach, dla wszystkich narodów — jest to bowiem jeden z warunków rozwoju jednostek i zbiorowości”[4]. Wędrowanie jawi się więc jako jedna z szans rozwoju kultury otwartej.

Bohaterowie literaccy różnych epok w podróż wyruszali przeważnie z własnego domu. Opuszczali miejsce będące symbolem poczucia bezpieczeństwa, stabilności i równowagi wewnętrznej. Wyruszali na wojnę, po karierę, pieniądze, sławę. Jedni przemierzali drogę ze zwyczajnej ludzkiej ciekawości świata, inni pragnęli zbawić ludzkość, ojczyznę czy siebie samych. Wyruszając w podróż zostawiali dom, do którego mogli wracać jako zwycięzcy, pokonani bądź synowie marnotrawni. Wyruszali silni duchem, wiedzieli kim są i skąd pochodzą, trwał bowiem dom rodzinny, będący miejscem przekazywania narodowej tożsamości[5]. Wyjście z domu i powrót do domu są dwoma ważnymi doświadczeniami ludzkości, od wieków zaświadczanymi i przemienianymi przez sztukę[6].

Motyw ten znalazł również odbicie w twórczości poetyckiej Białowieżan. Nie wracają oni jednak do domu ani jako bohaterowie w glorii chwały, ani jako synowie marnotrawni. Wracają jako poeci przemierzający czas i przestrzeń nie w rzeczywistości, lecz w sferze własnej psychiki, w atmosferze duchowości, we wspomnieniach i wyobraźni — świadomi niezmienności więzów pamięci i krwi wracają do „małej ojczyzny”, do widnokręgu swego dzieciństwa, do ziemi rodzinnej. Zbiorowa pamięć społeczności, wpisana w pamięć indywidualną, warunkuje istnienie ojczyzny prywatnej, zapewniając jej ciągłość i trwanie. W poezji Białowieżan wykreowany został mit słowiańskiej Atlantydy, która już nie istnieje w świecie realnym, ale możliwa jest do wyobrażeniowego odzyskania. Podróżują więc w głąb własnej świadomości i doświadczeń minionego czasu. Zmieniły się ich przestrzenie życiowe i czas, niezmienny pozostał charakter i misja narodu zakorzenione w ziemi, klimacie, pejzażu, w tradycji oraz historii kultury. W krainie pamięci nabierają kształtów minione zdarzenia, krajobrazy i ludzie. Z różnych przyczyn oddaleni od domu — poprzez różne formy istnienia ludzkiej pamięci — pozostają w nim jednocześnie. Ocalają siebie samych i kulturę.

Doświadczenia przeszłości nie umierają, ale i wrócić do nich nie sposób. Toteż bohaterowie liryczni wierszy Białowieżan podróżują w swej istocie daremnie[7], lecz realizują się jako wędrowcy egzystencjalni. Podróż pogłębia ich niepokój właściwy człowiekowi i stwarza szansę przemiany. Odsłania treści moralne, psychiczne i egzystencjalne. Dzielą specyficzny los dwudziestowiecznego Odysa, zagrożonego nie przez złych i okrutnych bogów, lecz przez ludzi. Niosą w swym sercu własną Itakę — mit domu ojcowskiego, stron rodzinnych, „małej ojczyzny”. Są one rajem w wyobraźni wędrowców tak długo, dopóki idą. *Cdn*

Teresa Zaniewska

**Niniejszy tekst stanowi fragment rozdziału pt. „Motyw drogi i wędrowca w twórczości poetów Białoruskiego Stowarzyszenia Literackiego «Białowieża»” z książki „Strażnicy pamięci. Poezja białoruska w Polsce po roku 1956”, która ukaże się w roku bieżącym nakładem Wydawnictwa Uniwersyteckiego Trans Humana.*

[1]zob. np. E. Łoch, *Struktury przestrzenne w prozie Jarosława Iwaszkiewicza*, (w:) *O twórczości Jarosława Iwaszkiewicza*, (red.) A. Brodzka, WL, Kraków 1983, s. 172; J. Kamionka-Straszakowa, *Zbłąkany wędrowiec. Z dziejów romantycznej topiki*, Wrocław 1992.

[2]por. B. Sokołowska, *Aksjologia „małej ojczyzny” w kontekście rozważań o pisarstwie Stanisława Vincenza*, (w:) *Pogranicze kultur*, (red.) C. Kłak, Wyd. WSP, Rzeszów 1997, s. 141.

[3]por. H. Zaworska, *Sztuka podróżowania. Poetyckie mity podróży w twórczości Jarosława Iwaszkiewicza, Juliana Przybosia i Tadeusza Różewicza*, WL, Kraków 1980, s. 7-8.

[4]Tamże, s. 35.

[5]Tezę o związku siły psychicznej człowieka z możliwością powrotu do miejsca urodzenia i domu rodzinnego lansuje Yi-Fu Tuan; zob. Tegoż: *Przestrzeń i miejsce*, przeł. A. Morawińska, PIW, Warszawa 1987.

[6]H. Zaworska, dz. cyt., 237.

[7]T. Zaniewska, *Podróż daremna. Szkice o poezji białoruskojęzycznej w Polsce*, Biblioteczka Białoruskiego Stowarzyszenia Literackiego „Białowieża”, Białystok 1992.

■ KONKURS

Podajemy prawidłowe odpowiedzi na dwa ostatnie pytania konkursowe:

11. Białoruskie Stowarzyszenie Literacko-Plastyczne powstało 6 października 1962 r.
12. Nazwa miasta Bielsk Podlaski pochodzi od jaćwieskiej nazwy bagien — *biele* (forma oboczna *bielsko*).

Nagrody otrzymują: **Anna Samborska** z Białegostoku (koszulka „Czasopisu” i kaseta Źmiciera Bartosika), **Lidia Szachalewicz** z Tropinki k. Białowieży (koszulka „Czasopisu” i kaseta zespołu „Biely Son”) oraz **Zofia Owsieniuk** z Hajnówki (koszulka „Czasopisu” i książka Mikołaja Hajduka „Bieławieżskija bylicy i niebylicy”).

Gratulujemy! Nagrody prześlemy pocztą.

Z uwagi na liczne prośby Czytelników termin nadsyłania kompletów rozwiązań przedłużamy do 25 października. Jednocześnie informujemy, że posiadamy niewielkie ilości numerów archiwalnych z kuponami konkursowymi (do nabycia w redakcji lub za zaliczeniem pocztowym). W listopadowym „Czasopisie” podamy listę zwycięzców. **Nagroda główna — rower górski — już czeka w redakcji (na zdjęciu).** Do rozlosowania także kasety, książki, koszulki i — uwaga — dwie bezpłatne roczne prenumeraty „Czasopisu” na 1998 r.



Święci ziemi białoruskiej

Św. Marcin Turowski

Św. Marcin Turowski żył w okresie, gdy Turów pod rządami księcia Jerzego Jarosławowicza dochodził do niezależności. Nie wiemy nic o jego pochodzeniu i młodości. O jego życiu dowiadujemy się dopiero z żywotu świętych Borysa i Gleba oraz z napisanego prawdopodobnie przez św. Cyryla Turowskiego „Słowa o Marcinie mnichu".

Św. Marcin urodził się w drugiej połowie lat 90. XI wieku. Był mnichem — kucharzem trzech kolejnych biskupów turowskich: Symeona, Ignacego i Joachima. Ze względu na swój sędziwy wiek został przez następnego biskupa — Jerzego — oswobodzony od dotychczasowych obowiązków. Cechujący się głęboką pobożnością i oddaniem Cerkwi starzec osiadł wówczas w nie zamieszkanym wtedy monasterze świętych Borysa i Gleba. Znajdował się on na jednej z wysp rozlewiska rzeki Prypeć, zwanej Bołoń.

Mieszkający samotnie w monasterze sędziwy mnich pewnego razu ciężko zachorował. Stało się to prawdopodobnie 11 kwietnia 1149 r. Z powodu wiosennych roztopów żaden z braci zakonnych nie był w stanie dostać się na wyspę. Obłożnie chorego Marcina, który nie był w stanie o własnych siłach wstać z łoża, w trzecim dniu choroby odwiedziło dwóch młodzieńców odzianych w książęce szaty. Na prośbę starca podali mu wody, a gdy zapytał ich kim są i skąd pochodzą, odpowiedzieli, że są braćmi Jarosława. Z wdzięczności za okazaną pomoc Marcin zaproponował nieoczekiwanym gościom, aby skosztowali znajdującego się w celi chleba. Przepraszał przy tym, że nie może jeszcze sam wstać, aby przygotować poczęstunek. Tymczasem jednak goście zniknęli.

Po tym zdarzeniu starzec szybko odzyskał zdrowie i dopiero wtedy zrozumiał, że gdy leżał złożony chorobą, odwiedzili go patroni monasteru — święci książęta Borys i Gleb. Opowiedział później o tym swemu ojcu duchowemu. Po roku zmarł. Miało to miejsce w 1150 r.

Oddawanie czci zmarłemu jak świętemu rozpoczęło się zaraz po jego śmierci. Podobnie jak św. Cyryl Biskup Turowski i św. Ławrencjusz Biskup Turowski został on zaliczony do grona świętych na przełomie XII i XIII w. Cerkiew czci jego pamięć 27 czerwca/10 lipca.

Jarosław Charkiewicz

Rys. Grzegorz Nazaruk



ХРОНІКА

МЯСЦОВАСЦІ



Мал. У. Петрука

КРЫВЯТЫЧЫ

Стою в просторы
Крывятыцкіх полюв
Батькувська зэмля
Спокуйна і віерна
Лежыт пуд моімы ногамы...

Фрагментам верша Івана Кірызюка („Беларускі каляндар" за 1981 год) пачынаем аповед пра ўзорную і адну з большых вёсак Арлянскай гміны.

У сямідзесятых гадах нашага стагоддзя на тэрыторыі „Чорнага лесу", што распаложаны на поўдзень ад Крывятыч у час пасадкі была знойдзена каменная сякерка з к. 1600 г. да нашай эры. Значыць, ужо ў ранняй эпосе борнзы жылі тут людзі. З наважытных часін першая звестка пра гэту вёску паходзіць з к. 1515 г. Тады ж, па ініцыятыве Богуша Богавіціновіча, заснавальніка Арлянскае воласці, каралеўскія ўраднікі далучылі да ягоных уладанняў частку Белавежскай пушчы „ад Крывятыцкіх сенажацяў, проста праз лес да Кімбарова млына". Нешматлікія тады жыхары Крывятыч забавязаны былі Богавіцінаовічам даглядаць яго сенажаці ды лясныя борці ды наогул выпаўнялі ролю асочнікаў у „Вялікім" або „Чорным" Лесе.

У 1577 г. вёску сустракаем пад названнем Крываволя. Невядома чаму і калі назва Крывятычы перайшла на сённяшнюю вёску Крывая (цяпер Бельскай гміны: у дакуменце з 1576 г. выступае яна пад назваю „Krzywiatycze"). У 1677 г. Крывятычы ізноў сустракаем з сённяшняй назвай. Тады ў вёсцы, пасаджанай на дзевяці валоках, было 42 дамы. Гаспадары насілі прозвішчы Чурак, Чыкер, Царэвіч, Осташэвіч, Макацэвіч, Ярмоцэвіч, Швец, Петрашык, Козловіч, Ваврысовіч, Саковіч і інш. Ды імёны: Тімош, Стэпран, Мартын, Іван і інш.

Ваенныя ліхалецці ў вялікай ступені знішчылі сяло. У 1670 г. усяго 13 дамоў было заселеных, а тры валокі зямлі пуставалі. З часам пасяляюцца тут новыя жыхары з іншых ваколіц. Магчыма, успамінам тых дэмаграфічных пераўтварэнняў ёсць наяўнасць розных гаворак у заходняй і ўсходняй частцы вёскі.

Да зносу прыгону сяляне з Крывятыч былі забавязаны абрабляць паншчыну пры арлянскім двары. Бывала, што надта іх там выкарыстоўвалі. У 1830 г. сяляне скардзіліся, што адміністратар маёнтка Якубоўскі не выплаціў ім належных 618 злотаў У той час Крывятычы налічвалі 25 дамоў з 111 жыхарамі. У 1884 г. узнікла тут першая ў гісторыі вёскі школа граматы. Яшчэ перад 1908 г. была яна пераназвана ў народнае вучылішча. Тады сяло налічвала 49 дамоў і 400 жыхароў. У 1915 г. усе яны, старыя і малыя, падаліся ў бежанства.

Мікола Сахарэвіч